Nr. 61. Lwów, Niedziela dnia 27. Października 1878 r. Tom VII.



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ORŻNĄŁEM ŻYDA.

HUMORESKA

przez

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy).

Gdy wjechano do miasteczka, pan dziedzic nie kazał zajeżdżać do oberży, tylko stanąć pod parkanem koło kościoła, sam zaś wziąwszy ową torebkę z pszenicą, ruszył prosto do Szmulowej... Nieszczęście mieć chciało, że tylko co odszedł, nawinął się Goldgart w tej stronie, a poznawszy wózek i konie z Głębokiej, zaczął rozpytywać Franciszka, kto przyjechał, kiedy i po co? — Franciszek, który trochę od lokaja wiedział jak państwo swarzyli się o wełnę, i jak ekonom dawał do bryczki próbkę z pszenicą, wygadał wszystko kupcowi.

Na targu jeszcze nie wiele fur było, a zatem przebiegły izraelita z łatwością mógł obserwować gdzie pójdzie pan Eustachy. Poszwargotawszy coś z jednym starym żydem, widocznie dał mu jakąś instrukcyą względem pana Eustachego, bo pokazawszy ręką zajazd Szmulowej, poklepał go po ramieniu wyprawiając w tę stronę. Potem zaczepił drugiego i temu odliczył jakieś pieniądze, a poprawiając sobolową czapkę na głowie, sam krążył tylko po rynku, trzymając się od zajazdu z daleka. Tymczasem pan Eustachy ulokowawszy się w alkierzyku a właściwie w budoarze pani Szmulowej, gdzie stało wysoko usłane łóżko za firanką, a nad niem pod sufitem półka obciążona cynowemi talerzami, żartował sobie z panią Esterką, do której od dawna czuł pewnego rodzaju inklinacyą... Ta Szmulowa, ulubienica wszelkiej szlachty z okolicy, przystojna, o czarnych oczach i rumianych policzkach żydówka, lubi się mizdrzyć może zanadto poufale do każdego, a pan Eustachy jakkolwiek szósty krzyżyk jego wieku miał się już ku schyłkowi, nie uciekał bardzo od takich pulchnych, rumianych i zaczepiających kobietek, i jak zapewniał dla kontrastu ze swoją Jagusią, którą nazywał żartobliwie małą wieżą z kości słoniowej..

Pani Szmulowa przyniosła na tacce kieliszek bronzowej esencyi z trzema obok migdałami, prezentując przy tej sposobności na półmisku przykrytym serwetą, ogromnego po żydowsku faszerowanego szczupaka...

Wśród dość swobodnych żarcików z panią Szmulową, a mianowicie żarcików o zwyczajach domowych uczonego pana Szmula, pokazał się we drzwiach stary Jukiel, nadworny faktor dóbr Głęboka z przyległościami...

— Słuchajno Jukiel — przyprowadźno mi tu jakiego kupca na pszenicę — mówi szlachcic, przypomniawszy sobie po co przyjechał.

— Goldgarta?...

— Broń Chryste panie! Innego porządnego kupca i to jeszcze tak, żeby Goldgart nie wiedział o niczem... pamiętaj, ani mu słowa...

— Może jaśnie wielmożny pan chce Waserberga?

— Niech będzie i Waserberg, tylko się zwijaj stary, bo nie mam czasu...

W dziesięć minut już był Waserberg w pokoju pani Szmulowej, wysoki, chudy, i czarny żyd i jak się zdaje ten sam, któremu pod kościołem Goldgart odliczał jakieś pieniądze.

— Kupisz sto korcy pszenicy odemnie, hę?

— Dlaczego nie, kupię... a jest młócona?

— Co do ziarnka, sto korcy jak obszył, wyczyszczona, wymłynkowana i sucha jak szkło— leży w sąsieku ot taka — mówi podając Waserbergowi woreczek. — Tylko namierzyć i brać.

Właśnie gdy kupiec z gorączkową niecierpliwością zabierał się do odwiązania woreczka z próbką, pani Szmulowa przyniosła naszemu dziedzicowi potężne dzwono faszerowanego szczupaka, razem z flaszeczką z octem i oliwą. Rzeczywiście dzwono było przepyszne, a farsz niby słój marmurowy, zapach znowu korzeni tak się zachęcająco po stancyi rozchodził, że panu Eustachemu gdy się brał za nóż i widelec tylko błyszczały jego wypukłe oczy, a język dobywał się ze środka ust na wargi.

Tymczasem Waserberg odkręciwszy tasiemkę zawiązującą torebkę z próbką, zapuścił w nią rękę, i o ile się zdaje nie zupełnie pustą, bo zaczął coś mięszać i mięszać w woreczku...

— No, pszenica byłaby ładna — mówi przypatrując się do światła wyjętej próbce na rękę— tylko ten grochal i ten kąkol jest feler...

— Czyś ty zwaryował, jaki grochal, jaki kąkol?

— Niech jaśnie pan patrzy, co to jest? Czy to nie groszek, czy to nie kąkol?

Pan Eustachy otworzył usta ze zdziwienia, nie połknąwszy ostatniego kawałka szczupaka, bo rzeczywiście w pszenicy czerniła się dość gęsto wyczka i kąkol. Zerwał się od stołu, wysypał resztę pszenicy z woreczka na stół,—prawda i groszek jest i kąkol jest...

— A niechże tego Masłowskiego wszyscy dyabli wezmą! To huncwot mości dobrodzieju, kazałem bestyi przepuścić trzy razy na trierze, żeby nic nie było... Wypędzę, jak Boga kocham, tylko przyjadę, wypędzę na cztery wiatry... Słuchajno panie Waserberg, to głupstwo, moja pszenica będzie czysta... daję ci słowo, każę wyczyścić co do ziarnka.

— Ny, takie wielkie grochal nie wyjdzie — mówi żyd kiwając głową.

— Ale kiedy ja ci powiadam, że wyjdzie, to wyjdzie, już w tem moja głowa. No, a co byś dał?

— Bo ja wiem co dać za taki towar... trzydzieści ośm złotych a czterdzieści najwyżej.

Pan Eustachy zrobił minę człowieka żywo obrażonego i nie spojrzawszy nawet na kupca, wziął się do dalszego konsumowania owego szczupaka.

— Niech ja słyszę słowo jaśnie pana? — mówi Waserberg.

Pan dziedzic milczał, dolewając sobie octu i ruszał wąsami.

— Mój kochany, co ja sobie mam psuć z tobą gębę! kpisz ze mnie czy o drogę pytasz!— Goldgart już tydzień temu dawał mi czterdzieści ośm... a ty tam pleciesz o czterdziestu... Nie mam dla ciebie pszenicy.

Waserberg stał jeszcze jakiś czas, stał, do

woreczka z pszenicą zaglądał, do nosa przykładał, zgryzł w ustach, a widząc, że pan Eustachy nie odwraca głowy, choć na czterdzieści dwa złote postąpił — ukłonił się i wyszedł.

— Cóż mi ty za kupca przyprowadziłeś?— zapytuje oburzony dziedzic, zwracając się do Jukla faktora.

— Ny, jaśnie panie, kiedy ten groch i kąkol... możeby jaśnie pan jutro przyjechał z inną próbką.

— Tak, może jeszcze telegrafem posłać... skoro ja powiadam, że będzie czysta to czysta... Zawołaj innego, bo potrzebuję dziś pieniędzy i muszę sprzedać.

Jukiel wyszedł z zafrasowaną miną, i przez całą godzinę potem jakby na odpust jakiś, szli kupcy i pojedyńczo i po dwóch, a niektórzy nawet w towarzystwie z żonami. — Patrząc na ich zatrwożoną minę z jaką oglądali próbkę pszenicy, pokazując sobie palcami ziarnka tłustej wyczki i dorodnego kąkolu, a następnie słysząc z jakiem lekceważeniem ośmielali się dawać po trzydzieści pięć złotych za korzec, zachodziła obawa, czy pan Eustachy potrafi tak długo hamować swoją obywatelską cierpliwość i czy nie zamaluje którego potężną swoją prawicą. Zapewnienia, przysięgi i słowa honoru, że Goldgart dawał czterdzieści ośm złotych, żadnego na nich nie robiły wrażenia, mówili swoje trzydzieści ośm, dziewięć a już najwyżej dochodzili czterdziestu...

— Cóż te łapserdaki myślą, że ja łżę czy co! — krzyknie do Jukla gdy mu ten świeczką zapalał fajkę; a widocznie już był zły dobrze, bo mu się ręka tak trzęsła jak pijanemu. — Pal ich dyabli! — słyszysz Juklu, idź do Waserberga niech da czterdzieści pięć i basta!

Jukiel przyszedł z raportem, że mimo tego basta nie da...

— No to czterdzieści cztery.

I tego nie chciał dać, Waserberg ale postąpił na czterdzieści dwa i pół, i pan Eustachy aby tylko na złość zrobić Goldgartowi, spuścił za tę cenę, kontrakt napisał zdeklarowawszy, że pszenica będzie oczyszczoną jak się należy...

— Teraz mości dobrodzieju — myśli sobie zawijając w paczkę ukompletowane tysiąc rubli— ja z nim zagram... Jukiel zawołaj no mi tu Goldgarta

Szanowny dziedzic Głębokiej rozsrożył się nie na żarty, nastroszył czuprynę, pokręcił rudego wąsa, surdut zapiął na guziki, nsadowił się głębiej na kanapie, i nie zaręczamy czy nie plunął w rękę, taki bowiem jakby przed walką na śmierć i życie opanował go animusz.

Nie długo wezwany Goldgart, jakby nigdy nic nie było, wszedł śmiało do alkierza pani Szmulowej, i zwyczajnym ukłonem powitał dziedzica. Dla pana Eustachego nastała krytyczna chwila działania, kuluminacyjny punkt doświadczenia własnej odwagi... Pykając dymem z fajki, ruszał i ruszał wąsami, a sterczące nad oczami jego brwi, niby dwa krzaki agrestu tylko zbliżały się i oddalały od siebie wśród fali marszczek koncentrujących się przy osadzie nosa...

Na usprawiedliwienie pana Eustachego, musimy dodać, że nie miał w sobie nic dyplomatycznego i nie wiedział z jakiej tu beczki zacząć z Goldgartem, czy tak okolicznościowo dójść do tej wełny i propozycyi, czy też uderzyć od razu prosto z mosta... Najlepiej odrazu — pomyślał sobie, pal go dyabli... (Dok. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

DRA JÓZEFA ROSENBLATTA.

(Dokończenie).

Przez pojedynek rozumiemy w nauce prawa karnego umówioną między dwiema osobami walkę poważną, stoczoną bronią zabójczą według przyjętych reguł i to zazwyczaj celem pomszczenia zniewagi.

Do pojęcia pojedynku wymagamy zatem znamion następujących:

1) wymagamy przedewszystkiem walki; a więc obydwaj pojedynkujący się muszą walczyć, a każdy z nich z zamiarem pokonania drugiego. Nie będzie zaś walki, a więc i pojedynku jeśli jeden naciera, a drugi oświadcza, że zachowa się biernie i walczyć nie będzie. Równość broni jest dalej do pojęcia pojedynku — zdaniem większości autorów, konieczna; nie będzie pojedynku, jeśli jeden walczy szpadą, a drugi pistoletem, aczkolwiek niektórzy autorowie i w takim przypadku przyjmują pojedynek, nie wymagając do pojęcia owegoż równości broni pojedynkujących się.

2) Walka winna być z góry umówiona co do miejsca, czasu, broni i innych warunków pojedynku. Walka bez poprzedniej umowy może być albo tak zwanym pojedynkiem nagłym (spotkaniem się — rencontre), albo napaścią i obroną przeciw takowej (attaque), o których wspomnieliśmy we wstępie.

3) Walka winna być poważna (ernstlich), t. j. wymaga się zamiaru zabicia lub uszkodzenia przeciwnika. Gdzie zamiaru tego nie ma, tam nie będzie pojedynku, np. w tak zwanym pojedynku studenckim, który, jak wyżej rzekliśmy, jest tylko zabronionem igrzyskiem i ma zazwyczaj na celu wyćwiczenie zręczności w władaniu bronią lub okazania takowej.

4) W walce brać mogą udział tylko dwie osoby ale bez różnicy płci; a więc może się także odbyć pojedynek między dwiema kobietami, czego dowodem stoczony w roku 1701 pojedynek między hrabiną Rocca a markizą Bellegarde. Jeśli w walce bierze udział więcej osób, aniżeli dwie, nie ma pojedynku, chyba że się równocześnie stoczy pojedynków kilka między różnemi osobami, jak np. bywało dawniej we Francyi, gdzie walczyły nie tylko osoby pojedynkujące się, ale i sekundanci pomiędzy sobą pojedynek staczali.

5) Pojedynek stacza się bronią zabójczą, to znaczy bronią według przeznaczenia swego do zabicia służącą; a więc nie będzie pojedynkiem walka kijami, ani walka nożami; zwyczajną bronią w pojedynku jest: szpada, szabla, pistolet.

6) Walka odbyć się musi według przyjętych reguł, t. j. według zwyczajnych reguł tradycyjnych, lub według reguł w danym wypadku ustanowionych i umówionych. Nie ma pojedynku zwyczajnego, jeśli np. strony walczące mają strzelać do siebie w odległości chustki („über das Schnupftuch") lub, jak Dowejko z Domejką w Panu Tadeuszu, w odległości skóry niedźwiedziej, (którą Wojski tak sprytnie przedłużył). Pojedynek taki byłby właściwie pojedynkiem amerykańskim.

7) Wreszcie pojedynek odbywa się zazwyczaj dla pomszczenia zniewagi (t. zw. „Ehrenzweikampf"); ale nie jest to warunek konieczny, bo pojedynek stoczonym być może dla zemsty w ogólności (t. zw. „Rachezweikampf").

Oto pojęcie pojedynku w nauce prawa karnego.

Co do zasad karygodności pojedynku zauważyć należy, co następuje:

Już samo wyzwanie na pojedynek i samo przyjęcie wyzwania powinno ulegać karze, jako przestępstwo naruszające porządek i spokój publiczny. Kara za pojedynek powinna stósować się do dzisiejszego pojmowania pojedynku, to znaczy nie powinna być hańbiącą, ani równą karze za morderstwo lub zabójstwo, ale ma być *dotkliwą* i ściśle wykonywaną. Kara winna dalej być stopniowaną w miarę warunków, na jakich pojedynek stoczono i w miarę skutków, jakie z stoczonego pojedynku wynikły. Przekroczenie reguł pojedynku odbiera mu cechę walki honorowej, a strona przekraczająca je uważaną będzie w miarę skutku za mordercę lub zabójcę. Dobrowolne odstąpienie od pojedynku przed onegoż rozpoczęciem sprowadza bezkarność wyzywającego i wyzwanego. Co się tyczy dalej karygodności osób w pojedynku udział biorących, przyjęte są w nauce prawa karnego zasady następujące: Lekarze, sekundanci i świadkowie są zazwyczaj bezkarni, albo bezwarunkowo, albo pod warunkiem, że starali się strony powaśnione pogodzić i od pojedynku odwieść. Ulegają natomiast karze roznoszący wyzwania t. zw. „Cartellträger", którzy reprezentują zazwyczaj ową pressyą opinii publicznej, zmuszającej powaśnionych do pojedynku: ulegają jej również ci, którzy do pojedynku podżegają, t. zw. „Aufreizer."

Co się tyczy postanowień o pojedynku w obowiązujących dziś kodeksach europejskich zauważyć należy że większa część kodeksów europejskich karze pojedynek karą nie hańbiącą, t. j. prostem zamknięciem (custodia honesta) i — jak kodeksy belgijski i zurychski — dość znaczną grzywną (do 10.000 franków).

W szczególności mianowicie kodeks niemiecki stanowi o pojedynku w rozdziale osobnym (§§. 201—210 p. t. Zweikampf) zaraz po obrazie honoru, chcąc przez to uwydatnić związek pojedynku z obrazą; kodeks austryacki stanowi o pojedynku również w osobnym rozdziale (§§. 158 do 165) zaraz po zbrodniach przeciw bezpieczeństwu życia i ciała. Kodeks belgijski stanowi o pojedynku w rozdziale o zbrodniach i występkach przeciwko osobom, również bezpośrednio po zabójstwach i uszkodzeniach w rozdziale trzecim (artykuły 423—433). Kodeks szwedzki stanowi o nim w rozdziale 14 o morderstwie, zabójstwie i gwałtach (§§. 38—43), kodeks rosyjski w rozdziale o zbrodniach przeciw bezpieczeństwu życia, ciała, wolności i czci osób prywatnych (§§. 1497—1512). Przeciwnie kodeks zurychski stanowi o pojedynku w rozdziale o zbrodniach przeciw pokojowi (Verbrechen gegen den Frieden §§. 92—97).

Co się tyczy kar na pojedynek zagrożonych, najsurowsze kary stanowi kodeks szwedzki, który dozwala, w razie jeśli się umówiono, że pojedynek skończyć się ma śmiercią jednej z osób pojedynkujących się i jeżeli śmierć rzeczywiście wyniknęła, orzec karę *dożywotnich* ciężkich robót. Kodeks ten karze również sekundantów i świadków więzieniem bez względu na ich zachowanie się przed pojedynkiem lub podczas takowego. Najłagodniejszym jest kodeks rosyjski, który nawet uwalnia wyzywającego od wszelkiej kary, jeśli wyzwanie nastąpiło z powodu ciężkiej obrazy wyrządzonej wyzywającemu, jego ojcu, matce, innemu krewnemu w linii wstępnej, dalej żonie, narzeczonej, siostrze, córce, synowej, szwagrowej

lub osobie pod jego opieką pozostającej i jeżeli wyzwanie pozostało bez skutku. W innych przypadkach grozi kodeks rosyjski aresztem kilkudniowym, a w cięższych przypadkach zamknięciem w twierdzy, w każdym razie zatem karą nie hańbiącą.

Kodeksy inne jak niemiecki, zurychski, projekt nowej ustawy austr. karzą pojedynek zamknięciem (Festungshaft) lub więzieniem od kilku miesięcy do lat 15 lub, jak projekt austryacki, do lat 20 w miarę warunków pojedynku i skutków onegoż. Przekroczenie reguł pojedynkowych karzą wszystkie kodeksy bardzo surowo, bo na równi z zwyczajnem morderstwem, zabójstwem lub ciężkiem uszkodzeniem.

O pojedynku amerykańskim kodeksy obowiązujące nie wspominają; dopiero projekt nowej ustawy karnej austryackiej stanowi przeciw niemu odrębne, o wiele surowsze przepisy, które już wyżej podaliśmy. Francya do dziś dnia ustawy przeciw pojedynkom nie ma; w roku 1877 wniósł znowu senator Herold projekt ustawy przeciw pojedynkom, dotąd jednak nic w tej mierze nie uchwalono. I w Angli również przepisów karnych przeciw pojedynkowi nie ma; ulega on karze za morderstwo lub zabójstwo, aczkolwiek przysięgli zazwyczaj uwalniają, jeśli stoczono pojedynek z zachowaniem reguł. Pojedynki w Anglii są jednak bardzo rzadkie, dla tego wcale nie czują tam braku osobnych przeciw niemu postanowień.

Wspomnieć wreszcie należy, że w Anglii i w Ameryce północnej zawiązały się liczne stowarzyszenia przeciw pojedynkom (artiduelling societies), których członkowie zobowiązują się podobnie jak członkowie ligi przeciwpojedynkowej za Ludwika XIV we Francyi, nikogo na pojedynek nie wyzywać ani wyzwania nie przyjmować. W niektórych krajach Ameryki północnej, mianowicie Luizianie, nadto wszyscy urzędnicy publiczni obowiązani są podpisać przed objęciem urzędu oświadczenie treści następującej: „przysięgam uroczyście, że się nie biłem w pojedynku, że ani nie wysłałem ani nie przyjąłem wyzwania na pojedynek od czasu ogłoszenia kodeksu karnego i że na przyszłość uważam się za związanego prawami honoru, przysięgą dziś złożoną i ustawami kraju, ażeby nie dopuścić się żadnego przestępstwa przeciw postanowieniom kodeksu o pojedynku.“ Oświadczenie takie wymagane od wszystkich urzędników działa bardzo zbawiennie na zmniejszenie liczby pojedynków.

Tak więc skończyliśmy rzecz o pojedynku. Kończąc wyrażamy nadzieję, że pojedynek nie długo jeszcze utrzyma się w opinii powszechnej, że nadejdzie wreszcie czas, gdzie nastąpi ogólne uznanie, że pojedynek w czasach naszych anachronizmem, że jest zabytkiem wieków średnich, nie mającym dziś żadnej racyi i podstawy. Ale zwrot ten w opinii publicznej nastąpić może tylko wtedy, jeśli wszyscy otwarcie i szczerze przeciw pojedynkowi wystąpią, nie jak ów jenerał Perone di San Martino, który w wydanej w r. 1864 broszurze przeciw pojedynkom oświadcza w przedmowie: „że każdego, ktoby sądził, że występuje przeciw pojedynkom z tchórzostwa, natychmiast wyzwie“.

Odpowiednia satysfakcya sądowa za obrazę czci, t. j. surowe ukaranie obrażających, ścisłe wykonywanie ustawy przeciw pojedynkującym się, wreszcie zawiązanie stowarzyszeń przeciw pojedynkom i wymaganie od urzędników oświadczenia podobnego, jak przytoczyliśmy — oto środki usunięcia pojedynku; do ich przeprowadzenia jednak nie wystarczą usiłowania ustawodawcy, jeśli nie będą poparte przez obywateli, poszanowania godnych przez ludzi dobrej woli, którzy łącznie i energicznie wystąpią przeciw przesądowi, którzy jawnie objawią swe zapatrywania się i szerzyć je będą we wszystkich warstwach społeczeństwa.

Miejmy nadzieję, że wynajdziemy odpowiedniejszy sposób satysfakcyi dla pokrzywdzonego na honorze, aniżeli krew obrażającego, że z postępem ustawodawstwa i cywilizacyi zginie ów zwyczaj barbarzyński, który tyle już pochłonął ofiar, a wróci czas szczęśliwy, gdzie wyzwany odeprze wyzwanie bez obawy narażenia się na wzgardę w oczach swych współobywateli, i odpowie wyzywającemu jak Maryasz dowódzcy Cymbrów: „powieś się na drzewie najbliższem, jeśli ci życie obmierzło.“

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

W miesiąc po tych wypadkach, któreśmy w poprzednim rozdziale opisali, szła drogą, która od Tarnowa wiedzie na górę Świętego Marcina, młoda żydówka, ale bardzo nędznie ubrana i mizerna na twarzy. W polu było posępnie, mglisto, a droga czarna od błota. Wiatr chłodny zrywał z drzew ostatnie liście i rozrzucał je po zoranej roli, nad którą podlatywały wrony kracząc niemile.

Żydówka szła dość prędko, ale drogi jej nie ubywało, bo nogi ślizgały się po rozmiękłej ziemi. Parę razy ledwie nie upadła. Jeszcze nie doszła do połowy drogi, a była tak zmęczona, że musiała usiąść i odpocząć na ściętej sosnie pod lasem. Siedząc patrzała na około; ale wzrokiem, w którym nie było duszy, w twarzy jej była jakaś dziwna martwota i obojętność, siedziała prawie nieruchoma, czasami tylko otwierała usta i wznosiła pierś głębokiem westchnieniem, jakby piła powietrze chłodne.

Trudno byłoby poznać w tej biednej żydóweczce naszą znajomą Amelię, tak zmieniło ją parę miesięcy przebytych w więzieniu. Zeszczuplała, wynędzniała, twarz jej straciła świeżość i rumieniec, zrobiła się śniadą; tylko oczy czarne, jakkolwiek teraz pozbawione blasku, matową czarnością nadawały całej twarzy dziwnego jakiegoś uroku i tajemniczego smutku. Niepodobna ją było minąć nie zwróciwszy uwagi, tak uderzający i niezwykły był wyraz tych oczów przysłoniętych długiemi rzęsami. Po chwili odpoczynku wstała i szła dalej w górę kierując się ku kępie starych lip, pomiędzy któremi czerniał dach kościółka. O parę set kroków od kościoła w otwartem miejscu na wzgórzu stała licha karczma, otoczona gospodarskiemi zabudowaniami. Po jednej stronie sieni była izba szynkowna, a za nią alkierzyk ciemny od geranii, które zasłaniały prawie całe okienko. Po drugiej stronie sieni był pokój gościnny, widny, bo oświecony dwoma oknami. Przy jednem siedział jakiś niemłody już człowiek bez surduta i szył. Umbrelka zielona rzucała cień na jego twarz wygoloną, tylko pod nosem czerniła się kępka włosów jakby przylepiony kawałek kwadratowy futerka. Zajęty był tak robotą, że nie uważał wcale, kiedy żydówka przeszła tuż koło okna. Weszła prosto do szynkowni.

— A ty do kogo? — spytała szynkarka widząc, że oglądała się w koło, jakby kogoś szukała. — Kogo ty szukasz?

Amelka nie wiedziała co powiedzieć. Nie wiedziała wcale, jak się nazywał człowiek, który obiecał zaprowadzić ją do Jana.

— Jeden człowiek — odezwała się niepewnym głosem — miał tu czekać na mnie.

— A to Jędrzej, on jest na tamtej stronie. Jędrzeju! — zawołała głośniej uchylając drzwi — jest ta dziewczyna.

— Małka! — zawołał szyjący, zerwał się, odrzucił umbrelkę, pobiegł naprzeciw wchodzącej i chwycił ją z uniesieniem w swoje objęcia.

Żydówka wyrwała się z rąk jego, dwie wąskie nitki zmarszczek zarysowały się na jej czole, i wpatrzyła się w niego wzrokiem surowym, a zarazem zdziwionym.

— Jak ty śmiesz tak mnie witać? Ja ciebie nie znam.

— Nie poznajesz mnie?

— Znam cię tylko tyle, że cię widziałam tam w tem strasznem miejscu — rzekła wskazując z odrazą w stronę Tarnowa. — Ale to ci nie daje prawa tak się witać ze mną. Zkąd masz tę śmiałość, tyś złodziej, prawda? Siedziałeś za złodziejstwo?

— Widzisz, bo ja... ja znałem twego ojca, ciebie znałem, gdyś była małą, i dlatego.

— To ty chcesz mnie może zaprowadzić do ojca? — spytała żywo i cofnęła się ku drzwiom.

— Nie bój się, zostań. Ojciec twój nie ma teraz kącika, gdzieby ci mógł dać schronienie. On sam tuła się teraz i chowa.

— Dlaczego żył tak nieuczciwie? Dobrze mu tak.

— Małko, gdyby on cię słyszał w tej chwili, byłoby mu bardzo przykro — rzekł z wyrzutem i smutkiem.

— Nie usłyszy mnie. Ja go nie chcę więcej widzieć.

— Ale może *on* pragnie cię zobaczyć — odezwał się stary drżącym głosem.

Amelia zawahała się na chwilę, jakieś uczucie przebiegło po jej twarzy niewyraźnym dreszczem, ale wnet otrząsnęła się z tego, jakby od natrętnego owadu i rzekła:

— Miałeś mnie zaprowadzić do Leszczyców.

— Nie dzisiaj, już późno. Jutro ruszymy w drogę. Odpocznij sobie, posil się.

I zajął się nią z całą troskliwością; przyniósł tam jakąś rybę z szynkowni, grzanego piwa z serem w czareczce i kugla. Potem poszedł do komory, która była za stancyą, wyniósł ztamtąd pełną naręcz betów i usłał je na łóżku. Obok łóżka przygotował ubranie suche i schludne, nie zapomniał o bieliźnie i trzewikach, bo te, które miała na sobie były zdarte i zabłocone.

Amelia przyjmowała te wszystkie oznaki czułej troskliwości z dziwną obojętnością, zdawała się nawet nie zwracać na to uwagi. Myśl jej widocznie zajęta była w tej chwili czem innem. Byłaby siedziała Bóg wie jak długo

*

tak nieruchoma zapatrzona w okno, na którem szarzał już zmrok wieczorny, gdyby jej opiekun nie był przypomniał, że może się położy, bo jutro wcześnie rano będą musieli wyjechać. Poszła ku łóżku i zaczęła się machinalnie rozbierać. Dusza jej nie była przy niej w tej chwili, odbiegła gdzieś daleko. Nim się położyła do snu, Jędrzej Knapek (bo pod tem imieniem ukrywał się i tutaj Grünwald) wyniósł się na palcach do sieni i zamknął drzwi za sobą.

Nie spał on tej nocy wcale. Najprzód musiał zejść do wsi, nająć wóz z końmi na jutro; potem poszedł do miasta na zakupno niektórych drobiazgów i żywności na drogę. Wrócił już koło północy do karczmy. Zaspana karczmarka otworzyła mu drzwi. Wszedł za nią do szynkowni.

— A cóż, moja dziewczyna? — spytał. — Czy nie potrzebowała tu czego?

— Śpi jak zabita. Wam posłaliśmy w komorze.

Grünwald zapalił świeczkę, poszedł na drugą stronę, ostrożnie, powoli otworzył drzwi, by nie zbudzić śpiącej, wsunął się po cichu do pokoju i zasłaniając światło ręką szedł na palcach do komory. Żydówka nie przebudziła się wcale, spała mocno oddychając ciężko i prędko. Grünwald przechodząc koło niej zatrzymał się i wpatrywał w śpiącą mocno wzruszony. Knot u świecy zaskwirczał i chwilowo zdawało się, że świeca gaśnie. To łza stoczyła się po jego twarzy i upadła na świecę. Otarł prędko oczy rękawem i już miał odchodzić, gdy żydówka zaczęła charczeć i szlochać przez sen, rzucała się niespokojnie po posłaniu, jakby mocując się, i nagle zerwała się na równe nogi i wrzasnęła przeraźliwie. Dopiero światło oprzytomniło ją, spojrzała wystraszonym wzrokiem w koło, a poznawszy opiekuna swego, przytuliła się do niego, jakby szukając obrony. Serce jej biło głośno gwałtownie.

— Co ci jest? co cię tak przestraszyło? — spytał tuląc ją do siebie.

— Miałam okropny sen. Śniło mi się, że byłam jeszcze tam w kryminale, że nie chcieli mnie puścić, a mnie tak pilno było do niego. Ale oni przecież nie mogą mnie wtrącić znowu do tego lochu, prawda?

— Uspokój się, moje dziecko — mówił z czułością ocierając chustką kroplisty pot z jej czoła i posadził ją na łóżku. Potem przyniósł szklankę wody.

— Masz, napij się, to cię uspokoi.

Usłuchała go i napiła się. Woda orzeźwiła ją, odetchnęła swobodniej i rzekła:

— Ach, jak ten sen mnie umęczył.

— Połóż się, uśnij — mówił otulając ją kołdrą troskliwie.

— Ja nie chcę już spać, boję się, żeby mi się ten straszny sen nie powtórzył. Jedźmy już. Wszak mieliśmy jechać wczas rano.

— Ale teraz jeszcze noc.

— A która godzina?

— Pierwsza z północy.

— Pierwsza dopiero? A dlaczego ty nie śpisz, zkąd się tu wziąłeś przy mnie?

— Przybiegłem, bo myślałem, że ci się coś złego stało.

W słowach jego było tyle serca, ciepła, że sztywna, lodowata obojętność żydówki stopniała, spojrzała z wdzięcznością na niego i rzekła:

— To ty musisz być nie złym człowiekiem. Oczy twoje — kiedy patrzę na twoje oczy takie łagodne, dobre, to mi trudno uwierzyć, że i ty zbrodniarzem.

Nagle coś sobie przypomniała, wstrząsnęła głową i mówiła dalej:

— Prawda i ojciec mój wydawał się dobrym i on miał takie same spojrzenie a przecież był tak złym człowiekiem, że rumienić się muszę, żem się kiedyś nazywała córką jego.

Spuściła na dół głowę i utonęła w ponurem zamyśleniu. Grünwald zakrył twarz rękami, chciał ukryć rozżalenie swoje; ale łzy przeciekały mu przez palce i jedna upadła na rękę Amelii. Ta ciepła łza ocuciła ją, podniosła na niego zdziwione oczy i spytała z współczuciem:

— Czego ty płaczesz, co? A może ty także masz córkę, która wstydzi się przyznać do ciebie i złorzeczy ci, żeś jej dał życie.

— Oj, wyparło się mnie moje dziecko — lamentował stary — a ja ją tak kochałem, tak kochałem. Jakikolwiek ja byłem, to przecież ona nie powinna była złorzeczyć mi, bo ja to wszystko robiłem dla niej, żeby była bogatą, bardzo bogatą i jak kruk znosiłem klejnoty i złoto pisklęciu memu do gniazda. A ona za to wystawiła dziób przeciw piersi mojej i zraniła mnie tu w samo serce. Wyparła się mnie. A przecież ja ojciec, a przykazania boskie nie mówią czcij ojca twego, jeżeli nie jest złodziejem, tam nie stoi nic, tylko: czcij ojca i matkę twoją.

Amelia poruszyła się niespokojnie na posłaniu; sumienie odezwało się w niej wyrzutem. Dotąd myślała, że to nie tylko nie grzech ale powinność brzydzić się ojcem, który popełniał tak haniebne czyny; teraz proste przypomnienie przykazań zachwiało w niej to przekonanie; uczuła się winną. Próbowała jednak bronić się stając w obronie owej nieznajomej córki i rzekła:

— Może córka twoja żałuje teraz tego.

— Mówisz, że żałuje? — zapytał żywo chwytając ją za rękę.

— Ja tak myślę — odrzekła cofając się przestraszona nagłym jego ruchem.

— Myślisz to według siebie, nieprawda? Więc ty przebaczyłabyś ojcu twemu, gdyby przyszedł do ciebie.

— Nie tylko, ale prosiłabym, żeby mnie przebaczył, bo widzę teraz, że zawiniłam względem niego.

Jeszcze nie dokończyła tych słów, kiedy Grünwald chwycił ją w swoje objęcia i ściskał i tulił nieprzytomny, szalony prawie z radości; drżącemi rękami chwytał ją to za głowę, to za ramiona i powtarzał ciągle: córko moja, dziecię moje, Malciu! — i śmiał się i płakał na przemiany.

Amelia w pierwszej chwili nie mogła sobie zdać sprawy z tego nagłego wybuchu radości, przypuszczała, że boleść obłąkała zmysły człowieka i w błędzie wziął ją za córkę swoją; ale wnet poznała głos ojca, w uścisku jego przypomniała sobie dawne pieszczoty, powitania, tylko oczy jej nie mogły się jeszcze oswoić, bo twarz ta w niczem nie przypominała jej ojca.

— Jakto, więc to ty ojcze — spytała patrząc ze zdziwieniem opromienionem czułością — tyś to, oczom własnym nie wierzę.

— Tak, to ja moje dziecię — musiałem to zrobić, aby się dostać do ciebie, bo myślałem sobie: ona tam nie ma nikogo, ktoby ją pocieszył, dodał odwagi.

— A ja cię tak przyjęłam. O jakże ze mnie niedobra córka!

— No, no, nie mówmy już o tem. Teraz ja o wszystkiem złem zapomniałem, wiem tylko, że ty jesteś przy mnie, że mnie kochasz jak dawniej.

I znowu począł całować córkę i radował się nią i pieścił.

Wtem głosy jakieś i ruch słyszeć się dały koło okien.

Grünwald i córka nagle przestali mówić i nadsłuchiwali. Serca ich biły głośno, pospiesznie z przestrachu.

— Co to jest? — spytała półgłosem Amelia.

— Nie wiem, zaczekaj, zobaczę.

Podsunął się cicho pod okno.

— Żandarmi? — spytała znowu wylękniona Amelia drżąc z obawy o ojca.

— Nie, nie, to fura jakaś — odrzekł Grünwald spokojniejszym już głosem — to pewnie będzie ta fura, którą ja wczoraj obstalowałem dla nas.

— Odpraw ją.

— Dlaczego?

— Ja już nie chcę jechać tam, zostanę tu przy tobie, to mój obowiązek. Będziemy razem jak dawniej.

— Nie moja Malciu, to być nie może. My się musimy rozłączyć. Ja muszę ciągle uciekać, kryć się, bo mnie szukają wszędzie, a z tobą byłoby mi trudniej, niż samemu. Nie mam dla ciebie żadnego schronienia. Tobie tam u tych ludzi będzie bezpiecznie i dobrze.

— A jeżeli mnie nie przyjmą? Ja tam nie będę śmiała pokazać się teraz.

— Mówiłem ci, że stary Leszczyc odsiadywał także kryminał.

— A więc to prawda?

— Siedziałem z nim razem.

— I syn wie o tem?

— Coby nie miał wiedzieć. Jeżeli nie wiedział przed tem, to się teraz dowiedział, bo o tem mówią już wszyscy. Stary Leszczyc stracił miejsce przez to, a syn leży bardzo chory.

— Jan chory? Co mu jest?

— Nie wiem dobrze. Nie mogłem się dowiedzieć. Tyle tylko zasłyszałem w aptece, że chory.

— Więc jedźmy, jedźmy jak najprędzej ojcze, on może będzie potrzebował mojej pomocy, matka jego już stara, nie ma sił, będę jej pomagać pielęgnować go. Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałeś! Mogliśmy przecież jeszcze wczoraj ztąd wyjechać.

Mówiła to w przerwach ubierając się z pospiechem. Tak była zajęta teraz tą jedną myślą, aby być jak najprędzej przy chorym, że nie zwracała wcale uwagi na to, iż suknie w które się ubrała, były nie te same, w których tu przyszła. Dopiero na drodze, kiedy już ujechali z parę mil i dzień się zaczął robić, spostrzegła ten dowód troskliwości swego ojca i przypomniała sobie o nim.

— Jakiś ty dobry — rzekła całując go w rękę i patrząc na niego z wdzięcznością — więc nawet o tem pamiętałeś?

Grünwald uśmiechnął się uradowany i rzekł ogarniając ją rozpromienionem spojrzeniem:

— Moje dziecko, a czy ja mam o kim więcej pamiętać? Przecież ja nie mam nikogo na świecie, tylko ciebie.

— A jednak nie chcesz zostać ze mną.

— Bo nie mogę. Policya wnet by odszukała mnie tam, gdzie wie że ty jesteś. Może nawet już są na tropie. Wczoraj kiedy poszedłem do miasta, jeden z ajentów policyjnych był w karczmie, rozpytywał się czy kto nie czekał na ciebie, czy nie pytałaś się o kogo, jak długo myślisz zabawić. Szynkarka wprowadziła go w błąd mówiąc, że zatrzyma cię u siebie do szycia na czas dłuższy. Będą zapewne tę karczmę mieli na oku, w nadziei, że mnie w nią jak w samotrzask złapią. Ale kiedy się przekonają, że cię tam nie ma, domyślą się wszystkiego i będą szukać. Widzisz więc, że nie możemy być razem, ja muszę kryć się. Mam kilka bezpiecznych kryjówek, nie złapią mnie. Czasem przyjdę odwiedzić cię, gdy upatrzę stosowną porę.

— I tak wiecznie będziesz kryć się, uciekać? — spytała rozżalona.

— Nie żałuj mnie, ja przywykł do takiego życia pełnego przygód i niebezpieczeństw, od lat dwudziestu tak żyję, i zdaje mi się, że nie umiałbym żyć inaczej. Nie wyobrażam sobie, czy bym mógł kiedy zasmakować w życiu domowem, spokojnem. To już taka natura moja. Wilk ucieka do lasu, a pies do budy.

Rozmowę tę prowadzili w żydowskim szwargocie, aby ich nie rozumiał furman. Amelia pamiętała ten język z dziecinnych lat, i ojciec choć czysto mówił po polsku, chętniej wolał zawsze rozmawiać z nią tym językiem z przyzwyczajenia i nieraz z potrzeby.

Kiedy dojechali do miejsca, zkąd widać było białe wieże klasztoru i różnobarwne dachy miasteczka, Amelia już myślą i oczami zatopiła się w tamtą stronę. Grünwald nie próbował nawet rozgadać ją, widział jej roztargnienie i niepokój, i wiedział co to znaczy. Dusza jej już nie była przy nim. Czas mu było pożegnać się z córką, zwłaszcza, że nie chciał pokazywać się blisko miasta z nią razem. Kazał więc woźnicy zatrzymać się.

— Co to jest? — spytała Amelia.

— Tu się rozstać musimy — rzekł stłumionym głosem. — Słuchaj, tobie może się to przyda, oni biedni teraz.

Tu wsunął jej pugilares w rękę.

Amelia popatrzyła mu w oczy bystro.

— To ludzkie, nie twoje, prawda?

Grünwald milczał. Zrozumiała to milczenie, odsunęła ze wstydem jego rękę i rzekła:

— Nie chcę.

— Z czego będziesz żyła?

— Będę pracować. Bądź zdrów ojcze.

Wzięła go za rękę, w której nie było pugilaresu i ucałowała go ze łzami. Grünwald przycisnął ją do siebie, pocałował w czoło w oczy, w usta, potem wyskoczył szybko z wozu i uciekł w las. Może nie chciał patrzeć za odjeżdżającą, by mu żal serca nie krwawił, a może też chciał ukryć przed nią łzy, które mu ciekły po twarzy. Podłe rzemiosło, jakiem się trudnił, nie wytarło w nim ludzkich uczuć; złodziej nie mógł zapomnieć, że był ojcem.

Na przekór chęciom swoim, które go ciągnęły do córki, szedł przez las w stronę przeciwną, z pewnem wysileniem, jakby szedł pod wiatr; tak wiele go kosztowało to oddalenie się od córki. Czasami stawał, oglądał się, nadsłuchiwał, zdawało mu się, że usłyszy jej głos, że go wołać będzie, by jeszcze o coś zapytać. Ale nic nie słyszał prócz niknącego turkotu wózka na drodze. Kiedy turkot ustał zupełnie, żyd rzucił się dalej w głąb lasu między zarośla, potem wszedł w ciemny sosnowy las, którego nagie pnie jak kolumny, podpierały gęste zielone sklepienie. Nie trzymał się ścieżki, ale szedł na przełaj kierując się ku wąwozowi, spodem którego sączyła się ze szmerem woda. To klekotanie wody było mu przewodnikiem, zmierzał prosto w stronę, zkąd go ten głos dochodził. Stanąwszy nad brzegiem wąwozu upatrywał miejsca, którędy mógł by po dość stromych bokach zsunąć się na dół. Był to ten sam wąwóz, którym Nuchem szedł do owej ukrytej pieczary. Tą samą drogą i Grünwald dostał się do niej. Kiedy wszedł już w ciemne kręte chodniki, zahuczał jak puszczyk. Echo czy głos jakiś odpowiedziało mu z głębi, i poszedł w kierunku tego głosu. Niezadługo kroki jakieś słyszeć się dały idące naprzeciw niemu.

— No, idziecie przecież, myślałem, że wam się coś złego stało. Mieliście wrócić wczoraj jeszcze.

— Nie można było — odrzekł sucho Grünwald i kiwnąwszy Nuchemowi głową na powitanie szedł dalej w głąb pieczary, gdzie było jego legowisko.

— A Małka? — spytał Nuchem patrząc zdziwiony to na Grünwalda, to w ciemny korytarz, oczekując czy kto się nie pokaże więcej. Gdzie Małka? Czy jej nie puszczono? Wszak miała wczoraj wyjść z kryminału. Nie wyszła?

— Wyszła — odrzekł Grünwald zrzucając z siebie ubranie.

— No i dlaczego nie przyprowadziłeś jej tutaj?

— Znalazłem dla niej lepsze schronienie.

— Gdzie?

— Co ci do tego? — odrzekł Grünwald obojętnie i układał się na posłaniu do spoczynku.

— Jakto, co ci do tego? — zapytał gwałtownie Nuchem — wszak to moja narzeczona; miałeś ją przyprowadzić tutaj i mieliśmy razem uciekać za granicę. Wszak taki był układ. Obiecałeś mi pieniądze i córkę.

— I ty mówisz Nuchem, żeś ty mądry — odezwał się Grünwald głosem spokojnym, nieco drwiącym — a wierzyłeś temu, że ojciec, który kocha swoją córkę, będzie ją na to wychowywał, żeby ją oddał potem za żonę takiemu jak ty złodziejowi. Na to trzeba być nie ojcem, ale katem własnego dziecka.

Nuchem wytrzeszczył na niego okropnie oczy, zaczerwienione z wściekłości i iskrzące się. Wyglądał jak tygrys, co chce się rzucić na ofiarę.

— Co? — zawołał — nie chcesz dać córki za złodzieja, a ty co? Czy ty książę, albo rabin.

— To też idzie mi o to, aby znalazła uczciwsze nazwisko, niż to, jakie jej ojciec dać może.

— I myślałeś, że Nuchem przystanie na to?

— Musisz. Jej nic nie zrobisz, a o mnie fraszka.

— Toś się grubo pomylił, jeżeli myślisz, że ci się to uda. Nie chcesz mi jej dać, ja sobie ją sam znajdę. Wiem gdzie jej szukać, tam u tych w klasztorze. A co? zgadłem?

Grünwald usiadł na posłaniu i odezwał się ostro:

— Słuchaj Nuchem, daj jej pokój. Jeżeli chcesz pieniędzy dam ci połowę tego, co mam; tylko jej daj pokój.

— Na co mnie twojej połowy, kiedy będziesz musiał dać wszystko, jak będę miał Małkę. Pewnie oddałeś jej te pieniądze do schowania. A widzisz, to cię ruszyło.

Rzeczywiście Grünwald zaniepokojony o córkę powstał.

— Myślisz, że ona pójdzie za tobą? Ona cię nienawidzi.

— Już się nie turbuj o to, już ja znajdę sobie na nią radę. Dziś jeszcze będzie w moich rękach.

To mówiąc wdział na siebie surdut i zabierał się do wyjścia. Grünwald zastąpił mu drogę.

— Nuchem, ja ciebie nie puszczę — odezwał się z dziką jakąś determinacyą — i rozparł się ramionami u wejścia. Ale Nuchem chwycił go silną ręką za piersi i odrzucił na bok jak wiecheć słomy. Grünwald zerwał się w tej chwili i pobiegł za nim — słuchaj Nuchem — mówił ochrypłym głosem — jeżeli krok się ztąd ruszysz, ja pójdę za tobą i wołać będę na całe gardło: to jest Roboh Nuchem — złodziej, którego sąd poszukuje — zgubię siebie; ale i ciebie zarazem, a nie dam zrobić krzywdy memu dziecku. Nuchem cofnął się — Grünwald był pewny, że go tą groźbą zatrzymał, gdy naraz usłyszał wystrzał i równocześnie uczuł ból w nodze. Zachwiał się i upadł pod ścianę pieczary.

— To tylko dla zabezpieczenia się, żebyś nie szedł za mną — rzekł Nuchem z zimną krwią i zabrał się do powtórnego nabicia pistoletu, który miał mu służyć do obrony w razie jakiegoś przypadku.

Grünwald tymczasem tarzał się w bolu po ziemi zrozpaczony, że nie może Nuchemowi przeszkodzić w wykonaniu jego zamiaru. Bezsilność doprowadzała go do wściekłości. Wił się i szamotał jak robak w prochu. — Naraz ręka jedna jego uderzyła o jakiś przedmiot twardy, dotknął po raz drugi macając i przekonał się, że to była baryłka. Zaraz przyszło mu na myśl, że to może być ta sama baryłka, o której Nuchem mu wspominał — baryłka z prochem. Zadrżał z przestrachu i radości, że znalazł przeciw swojemu wrogowi broń straszną. Co prędzej dobył z kieszeni noża i przecinał nim z pospiechem obręcze.

— Co ty tam majstrujesz? — spytał go Nuchem zaniepokojony długiem milczeniem Grünwalda i sztukaniem, jakie wydawał nóż trącany o drzewo. Ciemność nie pozwalała mu zobaczyć dobrze, czem Grünwald był tak gorliwie zajęty. Hej — zawołał powtórnie — Grünwald — słyszysz.

Grünwald nic nie odpowiadał, ale pracował gorliwie resztkami sił, nie zważając na ból i upływ krwi. Dopiero kiedy ostatnia obręcz pękła i beczułka rozsypała się, a on nawracał rękoma gruboziarnisty proch, odetchnął pełną piersią i odezwał się:

— Nuchem — pytam ci się ostatni raz, czy pójdziesz tam, czy chcesz koniecznie ukrzywdzić moją Małkę?

— Chcę się z nią ożenić—to nie krzywda, to honor dla niej będzie.

— Ja nie chcę, ja nie pozwalam.

— To też ja się ciebie pytać nie myślę— odrzekł Nuchem wkładając pistolet do kieszeni i zabierając się do wyjścia.

— Nuchem, jeżeli ci życie miłe, zostań — zawołał stary żyd strasznym jakimś głosem— Nuchem, ja ci mówię zostań—bo... bo zginiesz.

— Zobaczymy — odezwał się Nuchem drwiącym głosem i postąpił parę kroków ku wyjściu.

W tej chwili błysnęło światło, straszliwy huk dał się słyszeć, że aż góra cała zadrżała, sklepienie rozpękło w kawały i łomami głazów zasypało dno pieczary, i poszarpane ciała dwóch żydów. (Dok. nast.)

O PRZYCZYNACH I SKUTKACH

WZROKU KRÓTKIEGO

ZE WZGLĘDU NA WYCHOWANIE PUBLICZNE

napisał

Dr. Adam Zagórski.

(Dokończenie).

Dr. Cohn w Wrocławiu, który 10.060 dzieci w szkołach badał pod względem wzroku, otrzymał zadziwiające rezultaty, potwierdzające to, cośmy powiedzieli. W szkołach wiejskich znalazł on bardzo mało krótkowidzów, w szkołach realnych i gimnazyach powiększała się znacznie liczba krótkowidzów im wyższa była klasa. W szkołach wiejskich nie było wyższych stopni krótkiego wzroku; w szkołach średnich miejskich powiększył się znacznie stopień krótkowidzenia; w realnych i gimnazyach jeszcze więcej; w ogólności stopień wzroku krótkiego, wzrasta z postępem wieku uczniów. Cohn uwzględniał także stan światła w szkołach i skonstatował, że im węższa ulica, przy której stała szkoła, im wyższy dom, stojący naprzeciw budynku szkolnego, im na niższem piętrze była jaka klasa, tem większa ilość krótkowidzów. Gdzie było sztuczne oświetlenie, wszędzie okazało się niedostatecznem, malowidło pokoi i umieszczenie okien także zostawiało wiele do życzenia. Jest to kilka danych z tej interesującej książki, na którą zwracam uwagę wszystkich przyjaciół młodzieży, nauczycieli i władz szkolnych.

Za nim zastanowimy się nad tem, jak zaradzić powstawaniu i powiększaniu się wzroku krótkiego, wspomnę w krótkości o okularach. Jak długo krótkowidzący ma wzrok dobry, może przy noszeniu szkieł wklęsłych i z daleka dobrze widzieć. Przy pomocy tych szkieł będzie widział dobrze w dal bez stosowania oka, lecz przy patrzeniu na bliskie przedmioty, musi naturalnie użyć tej czynności. Lecz przy wyższych stopniach wzroku krótkiego istnieją ograniczenia dla noszenia okularów tak dalece, że nawet Donders, który w początku swoich badań był za ciągłem noszeniem okularów, całkiem poprawiających wzrok, zmienił swoje zdanie. Nie możemy tu wchodzić w drobne a bardzo skomplikowane szczegóły i musimy się ograniczyć tylko na niektórych wskazówkach. W ogólności nie dobrze jest szczególniej przy wyższym stopniu wzroku krótkiego przed dojściem do 25 lub 30 lat nosić ciągle szkła, które w przybliżeniu krótkowidzenie neutralizują, a całkiem szkodliwe noszenie szkieł zupełnie poprawiających. Takich szkieł można używać tylko do patrzenia w dal, a więc najlepiej w kształcie lornetki. Przy szybko powiększającem się krótkowidzeniu lepiej jest wcale okularów nie nosić, bo zwykle odbywa się w takich oczach proces zapalny. Ustali się już wzrok krótki, to pozwala się na noszenie szkieł, lecz z ograniczeniami wyżej wymienionemi. Tylko krótkowidze w niskim stopniu mogą nosić ciągle szkła neutralizujące, lecz dopiero w wieku dojrzałym, bo w wieku młodzieńczym zwykle wzrok krótki się powiększa.

Z rozprawki niniejszej wynika, że wzrok krótki nie jest rzeczą ani przyjemną, ani nieznaczną, ani też bezpieczną. Zachodzi teraz pytanie, czy istnieje jaki środek, ażeby poczynające krótkowidzenie powstrzymać, lub istniejące już usunąć?

Na pierwsze pytanie można niekiedy odpowiedzieć twierdząco. Trafia się bowiem, że krótkowidzenie nagle się rozwija, a przy bliższem badaniu okaże się, że takowe było następstwem pewnego rodzaju kurczu w mięśniu rzęskowym. Leczenie to nie polega na zadaniu jakiego specyalnego środka, jak np. chininy przy zimnicy, lecz na unikaniu szkodliwości poprzednio działających, a więc na powstrzymaniu się od pisania, czytania i innych męczących zajęć. Jest ono długie i nudne i nie raz nie da się pogodzić z wymogami życia codziennego. Najmądrzej i najlepiej jest unikać rozwinięcia się tego złego. Jeżeli się już przedłuży oś oka, w takim razie o wyleczeniu mowy być nie może, i Donders słusznie sądzi, że nauka nigdy nie wynajdzie takiego środka.

Wprawdzie próbowano taki środek wynaleźć i Berthold w Gietyndze wymyślił w r. 1840 aparat z barbarzyńską nazwą: Myopodiorthoticon, to jest aparat do wyleczenia wzroku krótkiego. Składał się on z pochyłego pulpitu opatrzonego w śrubę do zbliżania lub oddalenia i z podpórki dla czoła, w celu utrzymania oka w jednej odległości. Krótkowidzący miał się przyzwyczajać do czytania w coraz większej odległości. Okazało się to jednak niepraktyczne, zarzucono go i dziś pozostała tylko straszna nazwa. Pozostaje więc starać się, aby raz rozwinięty wzrok krótki nie powiększał się. W tym celu należy wszystkiego unikać, co sprowadza większy napływ krwi do głowy; pracować tylko przy dobrem świetle, czy to we dnie, czy też przy sztucznem oświetleniu, nie przybliżając oczu zanadto do przedmiotu. Od czasu do czasu należy spojrzeć w dal choćby przez minutę. Dobre jest, aby książka lub zeszyt, leżały cokolwiek pochyło, a tym sposobem i górny brzeg ich nie będzie zanadto oddalony od oka. Krótkowidzący w silnym stopniu powinni przy czytaniu trzymać głowę prosto, a książkę w ręku, lub na umyślnie urządzonym pulpicie. Do pisania należy używać wysokiego pochyłego pulpitu. Stara lecz dobra zasada jest, aby zaraz po jedzeniu ani czytać ani pisać.

Łatwiejszem jest zapobieżenie jak leczenie i dla tego przejdziemy teraz do drugiej części wyżej postawionego pytania, w jaki sposób należy zapobiegać pojawianiu się krótkowidzenia? Poprzednio widzieliśmy, że szkoła w pierwszej linii jest winną, jako twórczyni całej armii krótkowidzów. W Galicyi stosunki szkolne są bardzo zaniedbane; nie mówimy tu o szkołach wiejskich, bo tam obecnie nie wieleby się dało zrobić, lecz w miastach wiele szkół stoi przy wązkich ulickach i od dziedzińców. Dla tego panuje w nich podczas dni pochmurnych a szczególniej po obiedzie kompletna ciemność.

Byłby już czas, aby zwierzchności miast i szkół szczególniej przy zakładaniu nowych budynków szkolnych, unikały braków i szkodliwości w interesie naszych dzieci.

Nie mówimy już o przeciążaniu dzieci za wiele naukami; sądzę, że to jest więcej winą rodziców jak nauczycieli. Rodzice bowiem pragną się poszczycić wiadomościami swoich dzieci, nauczyciele zaś nabierają już przekonania, że należy dzieci wykształcić na dzielnych ludzi a nie robić z nich encyklopedyi. Lecz jest zadaniem szkoły trzymać dzieci przez czas, w którym jej są powierzone, w dobrem, zdrowem powietrzu, przy dobrem i wystarczającem oświetleniu z odpowiednim wypoczynkiem, aby się uczyły co im potrzeba i z czego będą miały pożytek. Z uczęszczania do szkoły nie powinny dzieci ponosić żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Zwracam uwagę na następujące punkta:

1. Należy się wystarać o odpowiednie, zastosowane do wzrostu dzieci ławki z podporą pod nogi i krzyże. Szczegółowo o tem nie będę się rozpisywał, ponieważ na to już powszechnie się zgodzono.

2. Oświetlenie sal szkolnych, ma być dobre i wystarczające. Światło ma padać z góry lub z lewej strony. Okna powinny być wielkie i dawać tyle światła, aby dziecko, prosto trzymając głowę, mogło z łatwością czytać i pisać. W braku dogodnych lokali podczas dni ciemnych dawać tylko takie zatrudnienia dzieciom, które nie wymagają dokładnego widzenia.

3. Książki i karty geograficzne powinny mieć dobry, wielki, wyraźny druk i biały, gładki papier. Między godzinami szkolnemi ma być niekiedy 10 minutowa pauza z tem zastrzeżeniem, że w tym czasie nie wolno dzieciom ani czytać, ani pisać i jeżeli możebne, przepędzić go na świeżem powietrzu.

Do tych trzech głównych punktów możnaby jeszcze wiele dodać, o czem my także w krótkości wspomnimy. Pokoje szkolne mają być pomalowane szaro-niebieskawo, szaro-zielonawo lub perłowo, z odnawianiem co pewien czas. Za jasne światło np. od południa należy złagodzić przez odpowiednie story. Niestosowne używanie okularów, winno być surowo zakazane, uczniowie mogą nosić takowe tylko za pozwoleniem lekarza.

Są to wszystko rzeczy, któreby się dały wykonać, jeżeli nie od razu, to przynajmniej stopniowo. Jeżeli się nabierze przekonania o ważności tej sprawy, która musi obchodzić każdego ojca, każdego przyjaciela młodzieży, to z pewnością nie zaniechają zapobiedz tym szkodliwym brakom.

Koszta na to poniesione zawsze się opłacą przez młode pokolenie, które nie okupi swoich wiadomości ułomnością, mogącą zakwestyonować całą ich przyszłą egzystencyą.

„Mens sana in corpore sano“, mówi łacińskie przysłowie: zdrowa dusza w zdrowem ciele. W obecnym czasie robi się już wiele dla zdrowia publicznego. Rząd zapobiega wywiązaniu się i rozprzestrzenianiu chorób nagminnych, więc także powinien wziąć w obronę zagrożone oczy naszej młodzieży.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy.)

Mówiliśmy że moc, wielkość, dobry smak i piękność obchodziły budowniczych świętego Piotra. Moc i wielkość to słowa dla wszystkich zrozumiałe, ale jakżeż oni pojmowali piękność? I czemże był ów dobry smak? Oto dwa pytania, które do nas przystępują, a najpierw odpowiemy na drugie.

Dobry smak wyradza się tam, gdzie jest społeczeństwo wyłączne, wykształcone estetycznie ale znudzone wrażeniami i żąda przedewszystkiem cichej równowagi i jakby ukrywania piękności nagromadzonych w gmachu, obrazie lub poemacie. Ci, którzy za dobrym smakiem gonią, nie pragną silnych wstrząśnień, i ruszają ramionami, gdy się spotkają z niecodziennymi pozorami pięknej rzeczy, bywają dość obojętni na uczuciowe piękno, i pragną tylko spokojnego, rozumowego używania coby ich od innych zajęć nie odrywało, a zajęcia owe w jakieś intelektualniejsze i świetniejsze a zdrowe sfery przenosiło. Postawiono kościół ogromny, ale nie chciano, by ten ogrom w oczy skakał i przeto obliczono wszystkie proporcye kolumn, gzymsów, łuków i filarów, tak aby się kościół małym wydał. Postawiono silne łuki ale nie chciano, aby każdego zmuszały do podziwu śmiałem zagięciem i duchownem tylko trwaniem; sparto je tedy o teatralnie zdobne silne filary. Zgotowano rozmaite perspektywy, ale nie ześrodkowano ich w chórze tak, aby tam spirytualistyczną symboliką raziły, jak we Florencyi. Nie zostawiono ponuro nagich murów i nie przeładowano ich ozdobami; nie wzgardzono nawet indywidualnością kolumny, ale postawiono je gdzieś po kaplicach, i uczyniono kościół, w którym ten co szuka każde wrażenie znajdzie, a w którym architektura nikogo do odczuwania wrażeń nie zmusza; i tem spełniono jedno z zadań wybrednego dobrego smaku. Tylko rozumowe piękno w całości widomie panuje, i ład est tu tak wielki, że nawet plan kościoła wyda ci się pięknym, jeźli masz oko wprawne do chwytania matematycznych proporcyi linii. Będziesz podziwiał świętego Piotra, ale na zimno, bo tego właśnie wymagał dobry smak.

Ale ów dobry smak żąda jeszcze i innych rzeczy. Chce żeby się niezwykła wartość przystrajała w zwyczajne pozory. I w kościele to widoczne, skoro główna myśl planu tak prosta w porównaniu z planem innych katedr, i skoro tylko mądry układ kaplic perspektywy w jednostajnym gmachu mnoży. Widoczniejsze to jeszcze w pałacach, w Watykanie i w kancelaryi Bramantego, a nadewszystko w owym placu Kapitolińskim postawionym wedle pomysłów Michała Anioła.

Niejeden tu tedy budynek mamy przed sobą, jedno cały plac wywyższony po nad poziom miasta, do którego prowadzi pochyła brukowana równia, po której tylko pieszy stąpać może. U dołu strzegą wejścia dwa lwy starodawne, wykonane na dwa tysiące lat przed Chrystusem w Egipcie, przywiezione do Rzymu za Cezarów, zasypane w średnich wiekach, odkopane przez Buonarottego, a postawione przed Kapitolem jako symbol szczerorzymskiej mocy, i jako świadki przedługich dziejów. Nie masz na tem miejscu odpowiedniejszego symbolu.

Szeroki, stromy gościniec błyszczy w słońcu, a u szczytu widać po obu bokach dwa trofea kamienne, i dwu olbrzymów pancernych z marmuru, przy których stanęły dwa karłowate konie. Trofee mają być świadkami zwycięstw przez Maryusza odniesionych za rzeczypospolitej, a posągi wcale nieszczególnej roboty przedstawiają dwu synów Konstantego, pierwszego chrześcijańskiego cesarza. W głębi w samym środku placu, stanął spiżowy konny posąg Marka Aurelego, świadek czasów pogańskiego cesarstwa. Tak to witają cię u wstępu na plac Kapitoliński pamiątki przechowane z trzech okresów dziejów starożytnego miasta. Michał Anioł nie postawił tu nic takiego, coby wspominało Rzym papiezki, i miał słuszność, bo tu nie Watykan.

A zresztą jakiż to plac na pozór zwyczajny! Trzy wielkie kamienice stanęły u trzech boków placu, ot i już wszystko; w głębi pałac senatora, na lewo masz pałac Konserwatorów, a na prawo muzeum Kapitolińskie. Są to domy jednopiątrowe, bez łuków i sklepień, prawie bez kolumn, powszednie zupełnie. U dołu dwu bocznych gmachów ciche stanęły krużganki, a tylko przed pałacem senatora dźwigają się śmiało podwójne wschody, z posągiem Tybru sączącym wodę z urny u dołu a z posągiem poczerniałym Minerwy u góry. Zresztą wszędzie widzisz wśród wielkich pamiątek zwyczajne okna i bramy, i tylko greckie przyczołki nad oknami przystrajają ściany, i tylko bardzo zwyczajna kwadratowa wieża sterczy po nad pałac senatora. A jednak gdy pobawisz tu, gdzie dobry smak martwotę prawie zrodził, nastroi się twój umysł uroczyście, bo choć tu nic współczucia nie budzi, wszystkie linie czyste, układ jasny i rozmiary wspaniałe.

Dobry smak żąda tedy pozorów powszedności i piękności, któreby się nikomu nie narzucały. Stawia jeszcze trzecie żądanie; chce aby wszystko hołdowało modzie i dowodziło wiedzy. Wiedzą architektoniczną był wówczas Witruwiusz przystosowany do potrzeb nowożytnego życia. I modą tedy był styl Witruwiusza. Oko przyzwyczajone do widoku zawsze podobnych przedmiotów w nich jedynie widzi ideał i wszystko od nich różne piętnuje nazwą brzydoty i w tem tajemnica władarstwa mody, mającej źródło swoje tam, gdzie potrzeba rozumowego piękna. Szukano tedy za pięknemi kolumnami, archiwoltami i fryzami i to tem naturalniej, że i stare ruiny Rzymu te tylko formy oku przedstawiały, że nie było tu ani ostrołuków, ani Romańskich sklepień, i że sąd estetyczny mógł z dość czystem sumieniem stare bazyliki brzydkiemi nazwać, by tem wyłączniej hołdować jednemu tylko modnemu ideałowi?

Ale czy takie ukrywanie wstydliwe piękności, po za pozory powszedności i po za konwencyonalną i cichą ornamentykę mogło długo nawet arystokracyi kardynałów wystarczyć? Dzieje sztuki odpowiadają wyraźnie, że nie, i że wędzidło dobrego smaku samo nie wystarczy uczuciu estetycznemu. Musi się ono wyrwać żądne wybitniejszych i silniejszych wrażeń, i świadectwem rokoszu fasada i plac świętego Piotra, dzieło artystów siedmnastego wieku *Fontany: Maderny* i *Berniniego.*

Jużciż to plac efektowny, co się narzuca widzowi, co mu klaskać każe, co z krzykiem zwraca na siebie uwagę. U środku stanął obelisk otoczony promieniami ciosowemi co wzorzystą posadzkę tworząc zmuszają oko do tego, by poznało ogrom owalu. Dwie fontan igra w słońcu po obydwu stronach obelisku, a owal ujęty przez dwa półkola potrójnych portyków, o brzydkich nieżłóbkowanych doryckich kolumnach i niekształtnym dachu kamiennym. Tu szczegółów pięknych nie ma, ale ogrom widomy, a wspaniałość fontan wspomnieniem chłodu zmysły cieszy. Pańskość chwali się sobą i narzuca się tobie, a najgłośniej przymawia w fasadzie kościoła, co daleko w głębi plac zamyka, długiemi ramionami kurytarzy połączona z kołującymi portykami. Strojna w trzy piątra rozmaitych bram i okien, i pełna ruchu, widocznie wyrosła wysoko, a cztery półkolumn u środka główną część fasady teatralnie zdobi, pozorami ogromnej siły. Wiesz, że to ułuda, ale aż się lękasz na myśl, jakieby to były te czerwone, nieżłóbkowane kolumny koryncki wysokie na dwieście stóp, gdyby żyły i były na prawdę, a nie lgnęły jako dekoracya do okazałego białego muru.

Jest tu wielkość prawdziwa, która ci się narzuca, i są poważne pozory co jeszcze większą wielkość kłamią, są barwy i światła, z wenecka choć na większe rozmiary ułożone, nie masz myśli żadnej, uczucia żadnego, i chełpliwa pompa zajęła miejsce dumnie milczącej pańskości. Pańskość zechciała się wreszcie głośno chwalić i powstał styl Barokko, pełny fontan i szumu, co tu wszędzie po kościołach i pałacach, po willach i placach swoje święta święci. A prócz pompy przynosi on jeszcze i dziwaczny pański koncept. Obelisk kładzie na słonia, kolumny kręci jakby jakie węży, front pałacowy zamienia pod rozkazami Salvi'ego w szumną fontannę di Trevi, wszędzie woda służy zleniwiałym zmysłom, a dziwnem pogwałceniem praw piękna, dogadza rozkapryszonej pańskiej woli. *Vignolla* stawia Piazzę del Popolo, po której się błądzi rozkosznie, koło obeliska otoczonego sfinksami tryskającymi wodą. Człowiek słucha wodotrysków i myśli, że jest na placu wspaniałym, aż dostrzeże, że tylko jakieś dziwne mury plac odgraniczyły. Boromini z kościoła Jana Laterańskiego uczynił dekoracyą. W środkowej nawie ułożył tyle marmurów, roztworzył w niej takie perspektywy na boki, że myślisz, żeś w bogatym i potężnym na prawdę przybytku.

Chodzisz po sklepionej nawie i domyślasz się bocznych naw tajemniczych i wspaniałego chóru. A boczne nawy to bielone sienie, chór bezkształtna sala, i pompa tylko kłamała ci o wielkości. Nie czas mówić o roju kłamliwych budowniczych, bo cośmy usłyszeć mieli, usłyszeliśmy, a nie dzieje sztuki piszemy.

(C. d. n)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

I.

(Ciąg dalszy.)

Tym sposobem z trudem i powolnie brał eksport francuski przewagę nad importem. Naturalnie, że to wcale ani pragnieniom Francyi, ani jej potrzebom, ani wreszcie jej zasobom odpowiadać nie mogło. Inaczej jednak na tę sprawę zapatrywali się Niemcy. Dla nich, już równowaga we Francyi eksportu z importem wydawała się kradzieżą popełnioną na ich majątku. Zdaniem ich, Francya od hańby sedańskiej i kapitulacyi paryskiej powinna była być miejscem zbytu ich wyrobów, a cała Europa ekonomiczną wasalką Niemiec. Tem więcej więc oburzyli się, gdy zważywszy rzecz dobrze, przekonali się, że zwycięska

Germania więcej zaczyna brać towarów od pokonanej Francyi, niż swoich jej dawać. Postanowili więc dobić Francyą... ekonomicznie; zdecydowali katastrofę sedańską uzupełnić wystawą wiedeńską.

Dla czego Austryi kazali zapłacić koszta tego uzupełnienia, tego dociekać nie będziemy. Była to może serdeczność i przyjaźń niewczesna, albo może konsenkwentne hołdowanie zasadzie że należy piec swe pieczenie przy cudzym ogniu. Nie będziemy także wytaczali na stół i opisywali dawnych dziejów, dobrodziejstw ekonomicznych tej wystawy. Zaznaczyć wszakże musimy, że wskutek niej, rozwój eksportu francuskiego doznał nowego zastoju. Cel wytknięty przez Niemców został zatem osiągnięty, wprawdzie niezupełnie, nie tyle, ile Niemcy sobie roili, zawsze przecież w stopniu dotkliwym dla Francyi.

Na wystawę wiedeńską Francya zbroiła się z zapałem podsycanym z jednej strony dumą narodową, z drugiej świadomością mającej się stoczyć walki o byt. Rozumiała ona dobrze, że wypadnie jej przyjąć bój w warunkach niepospolicie dla niej nieprzyjaznych. Nie cofnęła się jednak i podjęła rękawicę rzuconą przez Germanię. W stosunkowo daleko lepszych warunkach Germania postąpiła sobie inaczej: zaproszona do paryskich szranków, cofnęła się i dozwoliła ostrzelać arenę. Natomiast Francya wysłała do Wiednia co mogła i co miała najlepszego. Wszakże nie zajęła tam miejsca, przynależnego jej z wieku i z urzędu. Świeże i niezabliźnione jeszcze rany ostatniej wojny oraz wysokie koszta połączone z obesłaniem wystawy, zamknęły jej wrota przed niejednym fabrykantem francuskim. To też Francya odniosła na wystawie wiedeńskiej zwycięztwo, ale w tych jeno artykułach, w których nietylko nikt jej sprostać nie może, ale nawet nikt nie śmie z nią rywalizować. Bo i jakże np. wyglądałyby komicznie gobeliny germańskie?! Za to w innych artykułach, a przedewszystkiem w fabrykatach kosmopolitycznych, szala zwycięstwa w oczach bezstronnych krytyków ważyła się niekiedy w równowadze, a często nawet przechylała się na stronę Niemiec. Szczególnie taniością swych wyrobów brały Niemcy górę, zwłaszcza, że pod względem doskonałości materyału i dokładności fabrykacyi nie ustępowały wcale, a jeżeli czem grzeszyły, to chyba tylko gustem.

Wogóle na wystawie wiedeńskiej i z powodu niej, Niemcy zyskały wiele. Zysk ten był oczywiście odniesiony kosztem Francyi. Kupcy europejscy zwrócili się z obstalunkami do fabryk niemieckich, a eksport Germanii przybierać począł poważne rozmiary. I byłby może olbrzymiego doczekał się rozkwitu, gdyby nie *krach*, który wybuchnął właśnie w całej pełni ku końcowi 1873 r. Nie miejsce tu rozbierać przyczyny tej wielkiej katastrofy ekonomicznej, która tak dotkliwie i nam czuć się dała. Zaznaczyć wszakże musimy, że Francya zagrożona w swym ekonomicznym rozwoju wystawą wiedeńską, znalazła nagle w samych Niemczech, w ich *krachu*, znakomitego sprzymierzeńca. I eksport francuski, który w 1873 r. doznał już był znacznej zniżki, nagle w 1874 zaczął się podnosić, rozwijać stopniowo coraz bardziej, coraz potężniej, aż wreszcie doszedł niemal do podwójnej wysokości importu.

Już wtedy powstała u niektórych statystów francuskich myśl przypieczętowania tego niespodziewanego zwycięstwa na polu przemysłowem, stoczeniem walnej bitwy na wystawowej arenie; myśl podniesienia tego, co tylko przypadkowi czy „opiece bogów“ zawdzięczała Francya do godności sytuacyi normalnej, prawidłowej, a nadewszystko stałej. Atoli nie zdołała jeszcze myśl ta stać się przedmiotem publicznej dyskusyi, kiedy nastał tak kompromitujący nowoczesne dzieje, a przedewszystkiem Germanię, peryod, zwany „Kriegs-in-Sicht“. Szalony i najzupełniej niespodziewany rozkwit ekonomiczny Francyi wyrodził w Niemcach dziką chęć zemsty, gorączkowe pragnienie zniszczenia tej rywalki tak doszczętnie, aby już nigdy do współzawodnictwa z nimi stanąć nie mogła. Zburzyć fabryki Francyi, rozpędzić na cztery wiatry jej robotników, nałożyć na nią bezgraniczną kontrybucyą, przywłaszczyć sobie jej bogactwa i zmienić jej łany w pustynne stepy, oto ideał politycznej akcyi, jaki się wyroił podczas pamiętnego tego peryodu w głowach junkrów pruskich i przemysłowców niemieckich. I trzeba było dyplomatycznego skandalu, żeby odwrócić od Francyi ten kataklizm, jaki już był zawisł nad jej głową.

Ochłonąwszy z przestrachu, a nadto nabrawszy wiary w swe własne siły i przeświadczenia, że Niemcom już imponować może, Francya po przejściu tego fatalnego peryodu zajęła się znowu myślą wystawy i w parę lat szczęśliwie ją zrealizować zdołała. Niezaprzeczenie do tego zrealizowania przyczyniła się nietyle wzrastająca potęga Francyi, ile raczej niepewna polityczna sytuacya całej Europy. Wśród ciągłych obaw ogólnej wojny żadne z mocarstw nie chciało się mięszać do ekonomicznych zapasów toczących się między Francyą a Niemcami; żadne nie pragnęło palców swych wkładać między drzwi, mogące się lada chwila zatrzasnąć z hukiem działowym. Dla tego też wszystkie stanęły na gruncie neutralnym i obesłały wystawę. Opuszczona zaś Germania, pozbawiona sprzymierzeńców i zniewolona liczyć tylko na swe własne siły, obrała najfałszywszą drogę, najgorszą ze wszystkich jakie obrać mogła: zabsentowała się, demonstracyjnie uciekła z areny. Owoż jeżeli *les absents ont tort,* to na wystawach bardziej niż gdzieindziej.

Acz niechętnie, uwagi nasze nad wystawą paryską poprzedziliśmy jednak tym politycznym szkicem. Ale zniewoleni byliśmy do tego raz tem, że na tę stronę wystawy pisma nasze nie zwróciły żadnej uwagi, powtóre nadewszystko tem, że żadna z dotychczasowych wystaw nie miała tak wybitnej politycznej cechy, nie była brzemienną w tyle politycznych następstw ile właśnie paryska. Dla umysłu spekulacyjnego i skłonnego do stawiania politycznych horoskopów przedstawia ona obfite pole do dumań i wniosków. My jednak nie będziemy się tem bawili. Zaznaczywszy logiczny związek między wojną 1871 r. a tegoroczną wystawą i podniósłszy polityczną jej stronę, przechodzimy do naszych nad nią uwag i spostrzeżeń.

(C. d. n.)

PIOSENKA.

Dziewczyno! dziewczyno!
Powiedz mi kochana,
Gdzie twe myśli płyną,
Żeś tak zadumana?
Czy gonisz wspomnienia
Twych dziecięcych lat?
Czy szlesz twe westchnienia
W ponadziemski świat?

Nie, nie, bo uroczy
Blask rumieńca twego,
Nie, nie, bo twe oczy
Mówią co innego.

Twoja myśl w rozterce...
Nie zwiedziesz ty mnie!
Dziewczę! twoje serce
Do świata się rwie!

W istne czary strojna:
Uśmiech i rumieniec...
Och! och! bądź spokojna!
Będzie oblubieniec.
Jeden, drugi, trzeci,
Już dążą co tchu,
Skiniesz — a przyleci
Dziesięciu i stu.

I będzie wesele,
I drużki i drużby...
Cóż dla mnie aniele?
Co za moje wróżby?
Z weselną godziną
Ja zostanę sam...
Och! mam ja, dziewczyno,
Mam ja prośbę, mam

Zapytaj ty kwiatka,
Jak mu łąka miła!
Dziewczę! ciebie matka
Polska wykarmiła.
Nie bądźże mi płocha,
Schyl przed matką skroń,
Ten co Polskę kocha,
Niech ma twoją dłoń.

M. Bodoć.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła
WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ CZWARTA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Malignon, leżąc w fotelu, wyciągnął nogi przed wielkim ogniem, który się palił na kominie i oczekiwał spokojnie. Z umysłu spuścił firanki u okien i pozapalał świece. Pierwszy pokój, w którym siedział, żywo był oświecony pająkiem i dwoma świecznikami. W drugim przeciwnie panowała ciemność; lampka tylko kryształowa, zawieszona u góry, rzucała blade, na wpół przyćmione światło. Malignon spojrzał na zegarek.

— Do djabła! — szepnął — czy dzisiaj znowu każe mi czekać napróżno?

I z lekka ziewnął. Czekał od godziny już, co go wcale nie bawiło. Powstał i rzucił okiem dokoła. Nie podobało mu się ustawienie fotelów; jednę z kanapek przysunął do komina. Świece rzucały różowy odblask na obicie z kretonu; pokój cichy, zamknięty, ogrzewał się powol[illegible] ze[illegible] dworu dochodził szum wichru. Potem, ra[illegible] jeszcze wszedł do drugiego pokoju i uczuł się zupełnie zadowolniony; pokój ten wydał mu się bardzo dobrze, zupełnie „z szykiem“, przypomina alkowę z tem łóżkiem, co kryło się w rozkosznym cieniu. W chwili, kiedy poprawiał koronki u poduszek, do drzwi szybko zapukano trzy razy. Był to znak umówiony.

Nakoniec — rzekł głośno z miną tryumfującą.

I pobiegł otworzyć. Julja weszła zasłonięta woalką i otulona futrzanym płaszczem. Podczas kiedy Malignon cicho zamykał drzwi, ona przez chwilę stała nieruchomie tak, że nie można było dostrzedz wzruszenia, które tamowało jej mowę. Ale zanim młody człowiek miał czas ująć jej rękę,

podniosła zasłonę u kapelusza i pokazała twarz uśmiechniętą, trochę bladą, ale spokojną.

— Patrzcie — zapaliłeś pan światło — zawołała.— Zdawało mi się, że nienawidzisz świec palących się za dnia.

Malignon, który ułożył był sobie, że ją powita namiętnym ruchem, do którego się przygotował, stropił się na te słowa i tłumaczył się, że dzień bardzo był brzydki, z okien jego widok nieładny, wreszcie że przepadał za nocą.

— Nigdy niewiadomo, czego się trzymać z panem, — rzekła — żartując z niego. Przeszłej wiosny na moim balu dziecinnym wytoczyłeś mi cały proces: że zrobiłam piwnicę, że się wchodziło jak do umarłych... Ale wreszcie dajmy na to, że pański gust zmienił się.

Zachowywała się tak jak gdyby była z wizytą; udawała pewność siebie, przybierając głos trochę grubszy. Była to jedyna w niej oznaka pomięszania. Chwilami podbródek drżał lekko, jak gdyby zawadzało jej coś w gardle. Ale oczy błyszczały; nieroztropny krok, którego się dopuszczała sprawiał jej żywą przyjemność. To zmieniało ją; przychodziła jej na myśl pani de Chermette, która miała kochanka. Mój Boże! zawsze to jednak zabawne!

— Zobaczmyż — jak się tu urządziłeś — rzekła.

I obeszła pokój dokoła. On szedł za nią; myślał nad tem, że powinien był pocałować ją zaraz; teraz nie mógł już, musiał czekać. Julja przypatrywała się meblom, spoglądała na ściany, podnosiła głowę, cofała się, nie przestając mówić zarazem.

— Nie podoba mi się ten kreton. Niesłychanie pospolity! Zkąd wykopałeś pan ten szkaradny różowy kolor?... Patrzcie krzesło to byłoby niebrzydkie, gdyby nie tak wiele złocenia... I ani jednego obrazu, żadnego cacka; nic, tylko pająk i kandelabry, którym braknie stylu... O, mój kochany, radzę ci teraz wyśmiewać się jeszcze z mego japońskiego pawilonu!

Śmiała się, mszcząc się za jego dawne szyderstwa, za które zawsze jeszcze miała urazę do niego.

— Piękny masz gust—nie ma co powiedzieć!... Ale czyż nie widzisz, że mój chińczyk z porcelany więcej wart jak te wszystkie sprzęty!... Subjekt handlowy nie chciałby tego różowego kretonu. Marzyłeś chyba o tem, by zachwycić praczkę swoją?

Malignon, mocno zadraśnięty, nie odpowiadał nic. Próbował wprowadzić ją do drugiego pokoju. Julja zatrzymała się na progu, mówiąc, że nie wchodzi tam, gdzie tak ciemno. Zresztą, i tak widziała dosyć; pokój wart był salonu. Wszystko to pochodziło z przedmieścia świętego Antoniego. Zawieszona lampka szczególnie zabawiła ją. Bez miłosierdzia z niej drwiła, wciąż wracając do tej lampki, kupionej na tandecie, do tego marzenia biednych robotnic co nie mają mebli swoich. Podobne lampki znajdowały się we wszystkich bazarach po siedm franków pięćdziesiąt.

— Zapłaciłem za nią dziewięćdziesiąt franków — zawołał Malignon zniecierpliwiony.

Zdawała się być zachwycona, że go rozgniewała. Uspokoił się i zapytał podstępnie:

— Nie zdejmujesz płaszcza?

— Owszem — odpowiedziała; — tak gorąco tutaj!

Zdjęła nawet kapelusz, który on zaniósł wraz z futrem na łóżko. Kiedy wrócił, znalazł ją siedzącą przed ogniem i rozglądającą się jeszcze po pokoju. Spoważniała; chciała okazać pojednawcze usposobienie.

— Brzydko tu bardzo, ale panu nie źle być musi. Oba pokoje mogłyby być zupełnie ładne.

— Oh! dla tego co zamyślam z nich zrobić!— wyrzekł niedbale.

Zaledwie wymówił te głupie słowa, już ich pożałował. Niemożna było być więcej gburowatym, ani też bardziej niezręcznym. Julia spuściła głowę w uczuciu bolesnego zakłopotania. Na chwilę zapomniała była, po co tu przyszła. Malignon chciał przynajmniej skorzystać z zakłopotania tego.

— Julio — szepnął — pochylając się ku niej.

Giestem ręki kazała mu usiąść. Stało się to u morskich kąpieli, w Trouville, Malignon, znudzony widokiem oceanu, powziął pyszną myśl zakochania się. Od trzech lat już żyli z sobą na poufało — zaczepnej stopie. Jednego wieczora wziął ją za rękę. Nie pogniewała się; żartowała z początku. Potem, z głową pustą, z sercem wolnem, wyobraziła sobie że go kocha. Dotąd robiła mniej więcej wszystko to, co robiły jej przyjaciółki; ale brakowało tylko miłości, ciekawośc i potrzeba naśladownictwa pchnęły ją na tę drogę. Z początku, gdyby młody człowiek okazał się natarczywym, byłaby niechybnie uległa. Ale on miał na tyle zarozumiałości, że chciał pokonać ją rozumem swoim, i pozwolił przyzwyczaić się do roli kokietki, którą odgrywała. To też za pierwszą próbą z jego strony, kiedy pewnej nocy patrzyli razem na morze, wypędziła go zadziwiona i rozgniewana że psuł ten romans, który ją bawił. W Paryżu Malignon postanowił być zręczniejszym. Zbliżył się znowu do niej w peryodzie znudzenia, pod koniec męczącej zimy, kiedy zwykłe przyjemności, obiady, bale, pierwsze reprezentacye zaczynały nużyć monotonnością swoją. Pomieszkanie, umyślnie urządzone w jakimś nieznanym zakątku miasta, tajemniczość takiej schadzki, podejrzany smak intrygi znęciły ją. Wydało się jej to oryginalnem, trzeba było spróbować. A czuła w sobie tak wielki spokój, że wcale nie była więcej zmięszana teraz u Mulignon`a, jak poprzednio u malarzy, u których kwestowała obrazy na dobroczynne cele.

— Juljo, Julio — powtarzał młody człowiek, usiłując nadać głosowi swemu dźwięk pieszczotliwy.

— Bądź rozsądny — odpowiedziała mu poprostu.

I wziąwszy z komina zasłonę chińską, mówiła dalej z zupełną swobodą, jak gdyby się znajdowała we własnym salonie.

— Wiesz pan, — że mieliśmy dzisiaj rano powtórzenie... Boję się, żem nieszczęśliwy zrobiła wybór, zapraszając panię Berthier. Robi z Matyldy istotę płaczliwą, nieznośną... Ten monolog tak ładny, kiedy przemawia do swej sakiewki: „Biedna mała, przed chwilą całowałam cię“... otoż ona recytuje to jak pensyonarka, co się wyuczyła powinszowania... Bardzo jestem niespokojna.

— A pani Guirand? — spytał, przysuwając krzesełko swe i biorąc ją za rękę.

— Oh! ta jest wyborna... Wynalazłam doskonałą panię de Léry; będzie grała z zapałem i dowcipem.

Pozostawiła w dłoni jego rękę swą, którą on całował raz po raz, czego zdawała się nie spostrzegać.

— Ale to najgorzej, że sam nie możesz być przy tem. Najprzód poduczyłbyś trochę panię Berthier; a potem niepodobna jest byśmy doszli do jakiejś dobrej całości, jeżeli nigdy nie przyjdziesz.

Tymczasem udało mu się objąć ją wpół.

— Ponieważ umię rolę moją... szepnął.

— Oh! to bardzo dobrze, tylko trzebaż urządzić scenę... Niegrzeczny jesteś, że nie chcesz poświęcić nam parę poranków swoich.

Nie mogła mówić dalej; grad pocałunków spadł jej na szyję. Musiała wówczas dostrzedz, że trzyma ją w objęciu swojem, odepchnęła go, lekko uderzając chińską zasłoną, którą trzymała w ręku. Zapewne postanowiła sobie, że nie pozwoli mu posunąć się dałej. Biała jej twarz rumieniła się od ognia, usta zacisnęły z wyrazem zadziwienia i ciekawości. Naprawdę, to miało być wszystko! Trzebaby dojść do końca; i strach ją przejmował.

— Zostaw mię — jąkała, uśmiechając się z przymusem — pogniewam się znowu.

Ale jemu zdawało się, że wzruszył ją. Myślał na zimno: „Jeżeli dozwolę jej wyjść tak, jak przyszła, to ją stracę.“ Słowa były bezużyteczne, ujął znowu ręce i chciał otoczyć ramieniem. Na chwilę zdawała się poddawać mu. Potrzebowała zamknąć tylko oczy, a wiedziałaby. Miała ochotę do tego; zastanawiała się nad tem z zupełną przytomnością. Zdawało się jej jednak, że ktoś wołał: nie. To ona sama wołała, zanim jeszcze sama sobie odpowiedźiała.

— Nie, nie — powtarzała. — Puść mię... Nie chcę, nie chcę. On zawsze nic nie mówiąc — ciągnął ją do drugiego pokoju; wówczas gwałtownie wyrwała mu się z ramion. Szła nie za popędem własnej żądzy, lecz ulegając szczególnym wpływom; gniewała się na siebie i na niego. Zmięszana, mówiła urywanemi słowami. Ah! jak źle odpłacał się jej za ufność. Czegoż się spodziewał, postępując tak grubiańsko? Nazwała go nawet podłym. Nigdy już jej nie ujrzy. On pozwalał jej mówić, chcąc, żeby sama siebie ogłuszyła; ścigał ją tymczasem z uśmiechem złośliwym a głupim. Zaczęła się wreszcie jąkać i zasłoniła fotelem; nagle uczuła się zwyciężoną; zrozumiała, że należy do niego, za nim jeszcze wyciągnął ręce po nią. Była to jedna z najprzyjemniejszych chwil w życiu jej.

I tak stali naprzeciw siebie z twarzą zmienioną, i straszną, w tem usłyszeli hałas jakiś. Z początku nie zrozumieli, co to było, ktoś otworzył drzwi, przebiegł pokój i głos jakiś zawołał na nich:

— Uciekajcie, uciekajcie... zejdą was, znajdą was.

Była to Helena. Oboje z osłupieniem patrzyli na nią. Zdziwienie ich tak było wielkie, że przy niem zapomnieli o kłopotliwem położeniu swojem. Julja nie zażenowała się wcale.

— Uciekajcie — powtarzała Helena. — Mąż twój przyjdzie za dwie minuty.

— Mój mąż? — wyjąkała młoda kobieta, mój mąż?... Dla czego — z jakiego powodu?

Ogłupiała. Wszystko się jej plątało w głowie. Wydawało jej się niesłychanem, że Helena tam się znalazła i mówiła jej o mężu... Ale ta zniecierpliwiła się wreszcie.

— Ah! jeżeli myślisz, że mam czas do wytłomaczenia ci... Przyjdzie zaraz. Ostrzegam cię. Uchodźcie prędko, uchodźcie oboje.

Julja gwałtownego nareszcie doznała wzruszenia. Wzburzona zaczęła biegać po pokoju; mówiła szybko, bez ładu i związku.

— Oh! mój Boże — oh! mój Boże!... Dziękuję ci. Gdzie mój płaszcz? Co za niedorzeczność, ten ciemny pokój! Daj mi płaszcz, przynieś świecę, niech znajdę mój płaszcz... Moja kochana, prze-

bacz — jeżeli nie dziękuję ci... Nie wiem, gdzie są rękawy; nic, nie wiem, nie mogę już...

Strach paraliżował ją. Helena musiała dopomódz jej włożyć płaszcz. Kapelusz włożyła krzywo, nie zawiązała nawet wstążak. Ale co najgorsza, stracono całą minutę na szukaniu zasłonki od kapelusza, która była spadła pod łóżko... Jąkała się, drżącemi rękami przetrząsała kieszenie i spoglądała dokoła, czy nie zapomniała czego, coby ją skompromitować mogło.

— Co za nauka! co za nauka!... Ah! to już koniec na tem z pewnością!

Malignon bardzo blady głupią miał minę. Czuł się znienawidzonym i śmiesznym. To jedno tylko dobrze pojmował, że stanowczo nie wiodło mu się.

— A zatem sądzicie panie, że i ja także powinienem odejść?...

Nie potrafił zdobyć się na inne pytanie.

Nie odpowiedziano mu. Wziął przeto laskę i, udając krew zimną, rozmawiał dalej. Czasu było dosyć. Właśnie, były tu jeszcze wschody inne dla służby; nikt tędy nie chodził już teraz, ale można było przejść. Dorożka pani Deberle została była przed drzwiami, oboje zatem pojadą nadbrzeżem.

— Uspokójże się pani — powtarzał. — Wszystko się bardzo dobrze układa... Tędy, proszę.

Otworzył drzwi, zkąd widać było szereg trzech małych pokoików, czarnych i zniszczonych. Wilgotne powietrze zawiało ztamtąd. Julia za nim stąpiła w ten przybytek brudu i nędzy, po raz ostatni wybuchła oburzeniem, mówiąc na głos:

— Jak mogłam tu przyjść! Co za obrzydliwość!... Nigdy sobie nie daruję tego.

— Spiesz się — mówiła Helena, tak niespokojna jak i ona.

I wypychała ją. Młoda kobieta, płacząc, rzuciła się jej wówczas na szyję. Była to reakcya nerwowa. Wstydziła się, chciałaby się bronić, powiedzieć dla czego była tu u tego człowieka. Wreszcie, instynktowym ruchem podniosła suknię, jak gdyby miała przechodzić rynsztok. Malignon szedł naprzód, końcem buta odrzucając gruzy, leżące na schodach. Drzwi zamknęły się za nimi.

Helena tymczasem stała na śródku saloniku. Nadsłuchiwała. Zrobiła się cisza koło niej, wielka cisza, przerywana tylko trzaskaniem tlejącej głowni. W uszach jej dzwoniło, nie słyszała nic. Po chwili, która wydała się jej nieskończenie długą, nagły turkot powozu dał się słyszeć. To dorożka Julii odjeżdżała. Odechnęła wówczas swobodniej. Myśl, że nie będzie miała wiecznego wyrzutu za nikczemny postępek, napełniało ją uczuciem zadowolenia i nieokreślonej wdzięczności. Czuła ulgę i wielkie rozrzewnienie, ale zarazem tak była słaba, że nie miała już sił oddalić się, kiedy przyszła kolej na nią. Przychodziło jej zresztą na myśl, że Henryk nadejdzie zaraz i że musi tam znaleść kogoś. Zapukano, otworzyła natychmiast.

Zafrasowany listem bez podpisu, który był odebrał, Henryk wchodził blady z niespokojności. Spostrzegłszy ją — wykrzyknął.

— Ty!... Mój Boże! to ty!

W krzyku tym więcej było zadziwienia niż radości. Nie rachował wcale na podobną schadzkę, wyznaczoną z taką śmiałością. Po chwili jednak męska żądza budzić się w nim zaczęła na tę niespodziankę, ofiarowaną w tak tajemniczem schronieniu.

— Kochasz mię, kochasz mię — szeptał. Nakoniec mam cię, ja, com nie zrozumiał tego!

Otworzył ramiona, chciał ją objąć. Helena, która uśmiechem powitała była go, teraz zbladła i cofnęła się. Czekała na niego, to prawda, sądziła, że pomówią z sobą chwilę, że ułoży historyjkę jaką. Teraz dopiero zrozumiała położenie swoje. Henryk sądził, że go wezwała na schadzkę. Tego nigdy nie chciała. Oburzała się na tę myśl.

— Henryku, błagam cię... Zostaw mię...

Ale on chwycił ją za ręce i powoli ciągnął do siebie, jak gdyby chcąc natychmiast zwyciężyć pocałunkiem. Miłość jego rosła najprzód powoli; potem nagłe zerwanie poufałych stosunków przytłumiło je, ale teraz wybuchła tem gwałtowniej, że zaczynał już zapominać Helenę. Krew zalała mu policzki; widząc tę twarz płonącą, którą znała już i której się obawiała, Helena broniła się. Dwa razy już patrzał na nią temi strasznemi oczami.

— Zostaw mię, przestraszasz mnie... Przysięgam ci, że mylisz się.

Znowu zdawał się być zdziwiony.

— Wszakże to ty sama pisałaś? — zapytał.

Zawahała się chwilę. Co mówić, co odpowiedzieć?

— Tak — szepnęła nakoniec.

Nie mogła przecie zdradzić Julii, uratowawszy ją poprzednio. Przed nią była jak gdyby przepaść, do której sama osuwała się powoli. Henryk spoglądał teraz na pokoje, dziwił się szczególnemu oświeceniu i obiciu. I ośmielił się wreszcie zapytać:

— Jesteś tu u siebie?

Ona milczała.

— List twój ogromnie zaniepokoił mię... Heleno, ukrywasz coś przedemną. Zlituj się, uspokój mię.

Nie słuchała go; myślała o tem, że ma słuszność, przypuszczając, że mu wyznaczyła spotkanie. Cóżby tu robiła, po co czekałaby na niego. Nie mogła wymyślić żadnej historyi. Nie bardzo już nawet sama była pewna, że go nie wezwała tutaj na schadzkę. Jakieś koło, opasywało ją, znikała w niem powoli.

On nalegał na nią co raz bardziej. Rozpytywał ją z blizka, usta na ustach, by dowiedzieć się prawdy.

— Czekałaś na mnie, czekałaś?

Poddała się wówczas, bezsilna, złamana znużeniem i tą słodyczą jego, zgodziła się mówić to, co on powie, chcieć tego czego on chcieć będzie.

— Czekałam na ciebie, Henryku.

Usta ich zbliżyły się jeszcze do siebie.

— Ale pocóż ten list?... I znajduję ciebie tutaj... U kogoż tu jesteśmy?

— Nie pytaj mnie, nie staraj się nigdy dowiedzieć o tem... Musisz mi to przyrzec... To ja, jestem przy tobie, widzisz to przecie. I czegoż chcesz więcej?

— Kochasz mię?

— Tak, kocham cię.

— Jesteś moją, Heleno, moją zupełnie?

— Tak, zupełnie.

Usta przy ustach, pocałowali się. Ona zapomniała o wszystkiem, poddawała się wyższej sile. Teraz wydawało jej się to naturalnem i koniecznem. Wielki spokój spłynął na nią; uczucia i wspomnienia młodości zbudziły się nagle. Pewnego dnia zimą jak teraz, kiedy była młodą dziewczyną, na ulicy Petites-Maries, omal nie umarła w zamkniętym pokoju, przed wielkim ogniem z węgli przygotowanych do prasowania. Innego dnia znowu, latem, okna były otwarte, i zabłąkana zięba, wpadłszy do pokoju, obleciała go dokoła. Dla czego myślała o śmierci swojej, dla czego przypomniał się jej ten ptak? W rozkosznem unicestwieniu całej swej istoty, czuła się smutną i wspominała dziecinne czasy.

— Ależ zmoczona jesteś — szepnął Henryk. — Przybyłaś tu pieszo?

Zniżył głos — mówiąc do niej ty, i szeptał na ucho, jak gdyby bojąc się, by go kto nie usłyszał. Teraz, kiedy mu się oddawała, żądze jego drżały przed nią; otaczał ją pieszczotą gorącą a nieśmiałą, nie mógł odważyć, opóźniał chwilę. Po bratersku troszczył się o jej zdrowie, potrzebował zajmować się nią, zajmować w drobiazgach, w szczegółach.

— Przemoczyłaś nogi, zaszkodzi ci to — powtarzał. — Mój Boże! czy to jest sens biegać po ulicach w takich trzewikach!

Posadził ją przed ogniem. Uśmiechała się, nie broniąc, pozwoliła mu zdjąć obuwie z mokrych nóg. Małe jej pokojowe, trzewiczki popękały w kałużach pasażu Wód i ciężkie były jak gąbki. Zdjął je i ustawił po dwóch stronach kominka. Pończoszki także były mokre, poplamione błotem aż do kostek. Ruchem gniewnym, ale zarazem pełnym czułości ściągnął je — powtarzając:

— Takim to sposobem dostaje się kataru. Grzej się teraz.

I przysunął taburet. Śnieżnej białości nogi rumieniły się przed płomieniem. W saloniku było trochę duszno. W głębi, pokój z wielkiem łóżkiem spał spokojnie. Jedna ze stron portyery opadła i na wpół zasłoniła drzwi. W saloniku świece paliły się wysokim płomieniem i wydawały zapach, który napominał koniec wieczora. Chwilami, ze dworu dochodził szum ulewy i przerywał wielką ciszę.

— Tak zimno mi, to prawda — szepnęła i dreszcz ją przeszedł, pomimo wielkiego ciepła.

Nogi jej były złodowaciałe. Chciał koniecznie wziąć je w swe ręce. Ręce jego pałały, a więc rozegrzeją je natychmiast.

— Czujesz je. Nogi twe, tak małe są, że mogę je całe osłonić ręką.

Pokusa nadto była wielka, ucałował je. Zadrżała.

— Nie, nie, grzej się... Jak będzie ci ciepło...

Oboje utracili świadomość czasu i miejsca. Nieokreślone uczucie mówiło im, że późna już była godzina w tej długiej zimowej nocy. Świece dopalały się w uspionym pokoju i zdawały się mówić im, że czuwali już od bardzo dawna. Dokoła nich roztaczała się pustynia; żaden szmer, żaden głos ludzki nie przerywał ciszy. Byli po za światem, gdzieś na morzu, a tysiące mil dzieliło ich od lądów. O węzłach, łączących ich z rzeczami i ludźmi, zapomnieli całkowicie, tak że zdawało im się, że tu się urodzili, w tej chwili właśnie, i tu mają zaraz umrzeć we wzajemnym uścisku.

Nie mieli już słów nawet. Słowa nie oddawały ich uczuć. Może być, że się znali gdzieś indziej, ale tamto nie szło już w rachunek. Chwila teraźniejsza tylko istniała, i używali jej powoli, nie mówiąc o miłości swojej, przyzwyczajeni już jedno do drugiego, jak gdyby po dziesięciu latach małżeństwa.

— Ciepło ci!

— Oh! tak, dziękuję.

Niespokojność jakaś zdjęła ją; pochyliła się:

— Trzewiki moje nie wyschną.

On zapewniał ją, że owszem, wziął w rękę

trzewiczki, i oparł je o żelazo kominka — mówiąc głosem bardzo cichym:

— Tak dobrze, wyschną, upewniam cię.

Odwrócił się, jeszcze ucałował jej nogi. Żar, który napełniał ognisko palił ich oboje. Ona nie opierała się już pieszczotom jego które się stawały coraz natarczywsze. Wszystko, co ją otaczało, znikało przed nią, jej własne istnienie było dla niej zagadką. jedno tylko wspomnienie młodości pozostało: pokój, w którym tak było gorąco jak tutaj, i wielki piec z żelazkami, nad którym się pochylała. I pamiętała, że wówczas czuła takie unicestwienie istoty swojej, i że uczucie to nie było mniej przyjemne, że pocałunki, którymi Henryk obsypywał ją, zadawały jej śmierć powolną, nie więcej roskoszną jak tamta. Kiedy nagle pochwycił ją, w ramiona, niepokój ogarnął ją raz jeszcze. Zdawało się jej, że ktoś krzyknął, że zapominała o kimś, co łkał w cieniu. Ale trwało to jedno mgnienie tylko, potoczyła wzrokiem do koła, nie ujrzała nikogo. Pokój ten był jej nieznany, żaden przedmiot tu nie przemawiał do niej. Gwałtowna ulewa sprawiała przeciągły szum. Helena, jak gdyby snem zmorzona, osunęła się na ramię Henryka... (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Joachima Lelewela zasługi na polu geografii przez Stanisława Warnkę. Poznań. J. K. Żupański. 1878 r.

Joachim Lelewel znanym jest szerszej publiczności jako znakomity historyk, którego badania w dziedzinie historyi polskiej utorowały drogę późniejszym badaczom. Wszelako znajomość zasług Lelewela na tem polu jest bardzo względną, wie się o nich zazwyczaj ze słyszenia tylko. Dzieła Lelewela nie są popularne, panuje bowiem uprzedzenie jakoby pod względem formy były nadzwyczaj ciężkie do czytania. Zasłaniając się tą wymówką publiczność nie czytuje dzieł Lelewela, a nawet, bądźmy szczerzy, z młodszej generacyi historyków naszych mało kto zadał sobie pracę przeczytania wszystkich dzieł jego, a niejeden ograniczył się może na poznaniu książeczki dla dzieci „Dzieje Polski, które Stryj synowcom opowiedział.“

Lelewel pierwszy krytycznie rozpatrzył początkowe dzieje Polski poświęcając się głównie studyom epoki Piastowej — i ta tylko epoka dotąd jest opracowaną gruntownie. Późniejsi badacze uzupełnili cokolwiek studja Lelewela nad tą epoką, dalsze czasy zupełnie opracowane nie zostały i mamy tylko monografje pojedyńczych wypadków jak *Jagiełło i Jadwiga*, oraz *Dwa lata dziejów* Szajnochy, jak początki panowania Augusta II. Jarochowskiego, *Monografia Stanisława Augusta*, oraz *Rokosz Zebrzydowskiego* H. Szmitta i tp. I długo zapewne czekać będziemy aż nowy Lelewel posunie prace Joachima Lelewela dalej. Materyał się zbiera. Sam Lelewel nie ograniczył się badaniem epoki Piastowej i napisał wspomnione wyżej *Dzieje polski* dla dzieci, które to dzieło jakkolwiek nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom z braku wszakże lepszego podręcznika jest najpopularniejszą książką szkolną i z tej jednej książki tylko publiczność szersza zna Lelewela. Napisał *Dzieje Rusi i Litwy*, *Dzieje panowania Stanisława Augusta*, *Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej*. Nie będziemy tu wyliczali wszystkich dzieł Lelewela, które zostały wydane nakładem J. K. Żupańskiego w 20 tomach, a każdy tom zawiera częstokroć po kilka dzieł niezmiernie ważnych— chcieliśmy tylko wskazać że i na polu całości dziejów polskich Lelewel szerokie pozostawił ślady, a takie dzieło jak *Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej* będzie na długo drogoskazem dla przyszłych badaczy. Jeden może Wacław Aleksander Maciejowski potrafił być równie pracowitym badaczem i może równie wielkie zasługi położył w rozjaśnieniu przeszłości Polski — to też równie mało czytanym jest przez szersze koła publiczności.

Ta nieznajomość ze strony publiczności najznakomitszych prac historycznych, z których większa połowa jest przystępnie dla najszerszych kół czytelników opracowaną przez Lelewela, pochodzi z dwóch przyczyn. Po pierwsze, z przyczyn politycznych. Lelewel znakomity profesor liceum krzemienieckiego i uniwersytetów warszawskiego i wileńskiego, był znanym, bardzo cenionym i lubionym pod zaborem moskiewskim, gdzie już od roku 1831 nie tylko nie wolno było dzieł jego drukować i czytać, ale samo wymienienie jego nazwiska groziło zesłaniem na Sybir. Gdy w roku 1859 w czasach liberalizmu cara Aleksandra *Słowo* petersburgskie spróbowało wydrukować list Lelewela do profesora Czajkowskiego pisany w kwestyi czysto naukowej, najmniejszego z polityką niemającej związku, dalsze wydawnictwo *Słowa* zostało wzbronione, a redaktorowie zostali uwięzieni i tylko silna protekcya uratowała ich wówczas od zesłania na Sybir. Galicya, chociaż nie miała wówczas takiego wstrętu do emigracyi jak po roku 1863, to jednak zupełnie nieznała Lelewela. I pod innym względem warunki polityczne fatalnie oddziałały na stanowisko naukowe Lelewela. Ogromnie bogaty materyał naukowy z niezmierną starannością przygotowywany w ciągu lat blisko 30, z którego miedzy innemi miał zamiar Lelewel utworzyć obszerny :0 tomowy wykład całokształtu dziejów polskich, w części zaginął, a w części po kilku dziesięciu latach dopiero doszedł rąk autora, kiedy ten złamany wiekiem nie mógł już z niego należycie korzystać. Toż prace Lelewela mogły być wydane tylko kosztem mecenasów, o których niełatwo, bo nie było kupującej publiczności, a wydane dzieła szły tylko do bibliotek i nie przynosiły autorowi nawet tyle korzyści, aby miał na życie, nie dopiero na podróże naukowe i zgromadzanie kosztownych materyałów. Pomimo spartańskiego życia, jakie pędził w Brukseli Lelewel, pomimo najskromniejszych wymagań, zmuszony był jednak walczyć z nędzą, która nie jest przyjaciółką pracy, zwłaszcza naukowej. To też jak z jednej strony warunki polityczne stanęły na przeszkodzie w wykonaniu wielu pomysłów i wstrzymały od napisania wielu dzieł a na napisanych w owej epoce położyły swoje piętno, tak z drugiej, odgrodziły chińskim murem badacza od publiczności i zagrodziły tej ostatniej możność korzystania ze skarbów nieprzebranych wiedzy, nagromadzonych w dziełach Lelewela.

Druga przyczyna zaniedbania dzieł Lelewela ze strony publiczności, rozwija się z pierwszej. Gdy po kilkudziesięciu latach tułactwa, pisma te znalazły wstęp na ziemie polskie, gdy zostały zebrane i wydane razem, publiczność o Lelewelu już była zapomniała, tem bardziej, że pod zabór moskiewski i tylko dziś kilku tomom dzieł jego wstęp jest dozwolony, a nie znalazł się między młodymi historykami nikt, coby zasługi Lelewela przypomniał, dzieła jego ocenił i zachęcił publiczność do czytania.

Krytyczne ocenienie prac Lelewela na polu dziejopisarstwa polskiego dopiero wskazałoby publiczności wielkie zasługi autora na tem polu i spopularyzowałyby jego dzieła. Dopóki to nie nastąpi dopóty kraj nie potrafi należycie korzystać z tak bogatych, tak krytycznie opracowanych dzieł.

Zasługi Lelewela w dziedzinie dziejopisarstwa polskiego acz są olbrzymie i nie mają sobie równych, nie są jedynemi — są tylko najważniejszemi dla nas, bo przedmiot sam naród nasz najwięcej obchodzi. Lelewel wykładał na uniwersytecie wileńskim *dzieje powszechne*, które to wykłady następnie wyszły w 4-tomach. Oprócz tego napisał kilka innych dzieł bardzo wysoko cenionych w tym przedmiocie. Te dzieła nie weszły w skład wydania Poznańskiego p. t. *Polska, dzieje i rzeczy jej.*

Największy jednak pociąg miał Lelewel do studjów geograficznych i pomnikowe dzieła w tym przedmiocie zostawił. Okoliczności wszakże niesprzyjały tym studyom. Już to jako profesor historyi musiał odrywać się od prac geograficznych, zaginęły mu z mozołem uzbierane bogate materyały, już jako emigrant zmuszony na suchy kawałek chleba pracować nie mógł oddawać się studjom przedmiotu, na który wydawcy znaleść było niepodobna i który właściwie był tylko dla uczonych, a i ci nie mieli zaufania do uczoności polskiej.

Pan Stanisław Warnka, który, o ile nam, wiadomo po raz pierwszy z większą pracą wystąpił, jak tytuł dzieła wskazuje, podjął się ocenić zasługi wielkiego naszego badacza na tem polu. Z olbrzymiego tego przedsięwzięcia p. Warnka wywiązał się sumiennie i szczęśliwie, a imię swoje zapisał we wdzięcznej pamięci rodaków, obok imienia Lelewela. Zadanie, które sobie postawił p. Warnka, było olbrzymie, należało bowiem odczytać za Lelewelem wszystkie jego w tym przedmiocie prace, zajrzeć do źródeł, przejrzeć literaturę geograficzną, obeznać się z pracami znakomitych geografów współczesnych, porównać rezultaty ich badań z Lelewelowskiemi pracami, wskazać ich wzajemny stosunek i wykazać samodzielną zasługę Lelewela. Tego wszystkiego z niezmierną pracowitością i zupełną bezstronnością dokonał p. Warnka. Na szczególną zaś pochwałę zasługuje jego beztronność w ocenianiu dodatnich i ujemnych stron prac Lelewela, bo ta przekonywa czytelnika i zniewala go do uznania tych wielkich zasług, jakie Lelewel położył, samo podniesienie dodatnich stron, nie dałoby nam należytej miary i rodziłoby wątpliwości.

Dwa główne dzieła podnosi pan Warnka; *Badania starożytności we względzie Geografii* z dodatkiem *Pism pomniejszych geograficzno-historycznych*, które wyszło w Wilnie 1818 r. w języku polskim i *Géographie du moyen âge* pięciotomowe dzieło z atlasem wyszłe w latach 1850—1854 w języku francuskim i te dwa pomnikowe dzieła ocenia porównywając z pracami najznakomitszych geografów jak Oskara Peschla, Vivien St. Martin i innych. Tylko postawienie w tem świetle prac naszego uczonego, tylko objąwszy horyzont naukowy ogólno ludzki, można było ocenić prace Lelewela i w tem świetle postawiony dopiero jego geniusz jaśnieje w całej pełni. Pomimo wszystkich niesprzyjających okoliczności, jakie stały na przeszkodzie Lelewelowi, żaden z uczonych nie wzniósł się wyżej nad niego, a jeżeli weźmiemy w rachubę czas, że Lelewel poprzedził Peschla, Vivien St. Martin, Güntera, Richthofena o lat

*

50 i że ci uczeni doszli do tych samych rezultatów, które Lelewel o lat 50 wcześniej wygłosił, to musimy przyznać mu wyższość. Nie tłómaczy to bowiem uczonych francuskich i niemieckich, że nie umieli korzystać z prac już dokonanych, z rzeczy przez Lelewela opracowanych.

Nie będziemy zastanawiać się nad szczegółami dzieła p. Warnki, nie mamy po temu kompetencyi. Chcemy zwrócić tylko uwagę czytającej publiczności na cenną tę publikacya, zapoznanie się z którą oprócz obznajomienia z przedmiotem, przyniesie to moralne zadowolenie, jakie daje poznanie jednej więcej chluby narodowej, jaką jest dla nas Lelewel.

Praca p. Warnki powinnaby zachęcić naszych historyków do opracowania krytycznego również zasług Lelewela na polu dziejopisarstwa polskiego.

Wkrótce już ukażą się w druku *Listy Lelewela*, których zbiór kilkotomowy oddaje p. Żupański do druku. Na szacowną tę publikacyę oczekujemy z niecierpliwością, da ona nam możność poznania bliżej szlachetnej postaci wielkiego badacza i myśliciela. *W. Z.*

(*Biblioteka filozoficzna. Tom* I. *Renata Kartezyusza Droga do prawdy, przekład Wojciecha Dobrzyckiego. Lwów 1878. Str. 187 in 8⁰ min.*)

Kilkakrotnie już próbowano zapełnić w naszej literaturze brak przekładów pomnikowych dzieł filozoficznych, ale zawsze kończyło się na próbach. Nawet ostatnie wydawnictwo *Biblioteki filozofii pozytywnej* w Warszawie, musiało być po kilkunastu zeszytach zaniechane z przyczyny zakazu cenzury. P. Dobrzycki drukując swe przekłady we Lwowie nie będzie miał tej przeszkody, a nie ulega wątpliwości, że wydawnictwo uzyska debit w Królestwie. Powolna zaś rozprzedaż nie powinna zrażać wydawcy, gdyż dzieła tego rodzaju nie starzejąc się, przez długi czas mogą się w handlu utrzymać. Ale właśnie dla tej pomnikowej wartości tego rodzaju przedsiębiorstw i ze względu, że trudno się spodziewać drugiego, lepszego wydania prac klasycznych, radzibyśmy w nich widzieć uwzględnione wszystkie te warunki, jakim zdaniem naszem odpowiadać powinny.

A więc, przedewszystkiem, jeżeli mają być przeznaczone dla szerszej publiczności, (a to właśnie wydawca Biblioteki zamierzył), powinny być opatrzone we wstęp i przypisy, któreby *historyczne* stanowisko autora charakteryzowały dostatecznie. Nie chodzi tu bynajmniej o studyum lecz o treściwe przedstawienie jego stosunku do innych, przed nim i po nim idących. W przeciwnym razie postać filozofa wyjdzie jako odosobniona i jedyny naszem zdaniem cel takiego wydawnictwa: uprzytomnienie dziejowego pochodu myśli, zostanie chybiony. Książka taka jak *Discours de la méthode* Dekarta może mieć dzisiaj jedynie tylko historyczne znaczenie, ale i to znaczenie nie uwydatni się w umyśle czytelnika, jeśli nie będzie wiedział, jaki stan fizyki lub metafizyki autor zastał a w jakim je zostawił umierając. Jednem słowem, oznaczenie *historycznego* stanowiska autora było pierwszym obowiązkiem wydawcy, oznaczenie go bez panegiryku i nie z punktu widzenia dzisiejszej lecz ówczesnej wiedzy przedewszystkiem. A tego właśnie wydawca nie uczynił. Napisał wprawdzie życiorys, który czyta się z zajęciem, ale tej wspomnianej wyżej nauki nie daje. Św. Augustyn, od którego Dekart swój psychologiczny punkt wyjścia zapożyczył, św. Anzelm, którego dowód istnienia Boga tylko przerobił i to przerobił niedołężnie, nie są nawet wzmiankowani. Owszem tłómacz zdaje się mniemać jakoby to były całkiem oryginalne pomysły Dekarta, zaliczając je nawet do „najbystrzejszych“. Również i o wpływie filozofii tego myśliciela na następców nic się nie dowiadujemy, tak że ostatecznie postać jego wychodzi z łona dziejów, jak Minerwa z głowy Jowisza.

W tem zaś co wydawca podaje w krótkim ustępie o filozofii scholastycznej, widzimy raczej apologią Dekarta, niż sąd krytyczny. Tak n. p. czytamy tam, że „dopiero Kartezyusz pootwierał nam zmysły, sprowadził ludzkość z manowców, *przyrodzie wrócił należne jej znaczenie* i td“. A przecież przed Kartezyuszem był Bakon — byli: Giordano Bruno, Galileusz, Campanella, Vanini, którzy już *przyrodzie należne jej znaczenie* przywrócili i którzy mimo wszelkich błędów nierównie większe do nazwy pierwszych reformatorów mieli prawo niż powściągliwy twórca nowszej *dedukcyjnej* filozofii, który gdy potępiono Gelileusza, bał się dzieło swoje drukiem ogłosić.

Niepotrzebnie też autor stara się gwałtem wykazać jego skromność, bo takim ludziom jak Dekart, można przebaczyć chełpliwość a przebaczenia potrzebuje on na każdej niemal stronnicy.

Bardzo słusznem jest podniesienie zasług Dekarta w ustaleniu zasadniczych myśli dzisiejszej fizyki. Jest to zasługa, o której zapomniano a która wraz z jego zasługami w matematyce przeciwważy wszystkie jego błędy metafizyczne. Natomiast nie uwydatniono historycznego znaczenia jednej z najgłówniejszych tez Dekarta, mianowicie o bezwzględnym rozdziale pomiędzy duchem i materyą, który był punktem wyjścia dla najbliższego reformatora filozofii, dla Spinozy. Wogóle jaki ruch wywołały w umysłach konsekwencye dekartowskiego systemu, o tem się wcale nie dowiadujemy, a przyczyniłoby się to w znacznym stopniu do uprzytomnienia sobie roli Dekarta w historyi.

Wydawca wogóle zanadto wziął w opiekę autora wobec czytelników i zaznaczając zaledwie najgrubsze błędy, każdą natomiast trafniejszą myśl podnosi z przesadnem uwielbieniem. Wolelibyśmy raczej więcej przypisków historycznych informacyjnych, tylko ściślejszych niż te, które są podane. Tak np. na str. 76 tłómacz twierdzi, że Arystoteles „czego nie widział temu nie wierzył“. Jest to licencya popularyzacyjna zbyt rozległa. Na str. 97 błędnie podano (może przez omyłkę drukarską) że Anaximenes wywodził wszystko z wody, podczas gdy wiadomo że mówił on w tem znaczeniu nie o wodzie, lecz o *powietrzu.* Nareszcie na str. 57 i 76 znajdujemy dwukrotnie powtórzony błąd jakoby Dekart mieścił duszę we *wzgórku czworaczym.* Chodziło tu bowiem nie o wzgórki czworacze (*corpora quadrigemina*) lecz o *szyszkę* (*glans pinealis*), którą Dekart wybrał dla tego, że jest jedynym utworem pojedyńczym w mózgu podczas gdy wzgórki czworacze, jak zresztą sama nazwa wskazuje, wcale nim nie są.

Ale pominąwszy te usterki, całość wydawnictwa przedstawia się starannie; tłómacz dbał widocznie i o wierność przekładu i o czystość języka, możemy więc wydawnictwo jego polecić wszystkim tym, którzy nie mogąc czytać oryginałów, chcą jednak mieć pojęcie o tem, jak wyglądają z bliska wielcy myśliciele przeszłości. *J. O.*

Tydzień Lwowski.

Lwów dnia 24. października.

(*W.*) Na pożegnalnym obiadku wyprawionym w kasynie Żokiej-klubu na cześć i chwałę ekscelencyi zwanego we Lwowie „Najbude,“ wzniesiono tylko dziesięć toastów. Był zamiar doprowadzenia ich do sześćdziesięciu czterech, jako liczby przepuszczonych na rzadki pytel spraw sejmowych w ubiegłej kadencyi, lecz wobec tak ważnych spraw, jakiemi są kopanie kartofli i zaopatrzenie w takowe c. k. armii okupacyjnej w Bośnii i Hercogowinie, poczciwi ojcowie trzech połączonych nacyi Galicyanów, Lodomerczyków i Krakowiaków wycałowawszy się po staroświecku w oba poselskie policzki, musieli poprzestać na takiej liczbie i ruszyć w świat spolszczoną koleją Karola Ludwika. Z dziejów tego obiadku przychodzi nam zanotować dwa fakta wielkiej wagi dla przyszłości krajowej, jeden przez odkrycie nowego talentu aranżującego znakomicie znany kowbasiński temat „Najbude jak buwało“ w rymowane waryacye, a drugi, ostateczne połknięcie smutnej pamięci prezyi hr. Stanisława Tarnowskiego przez szlachtę podolską. Teraz dzięki Bogu nie ma już Stańczyków i Podolaków, i jest nadzieja, że będziemy mieli w Galicyi jeden *Czas* i jeden czasownik „słuchajmy, słuchajcie, niechże słuchają“. Straszą nas wprawdzie widmem dwóch nowych dzienników od Nowego roku, ale to już nie będą Prometeusze lub Jowisze podwawelscy rzucający gromy, lecz delikatne plastry dla zagojenia ran zadanych wschodowi przez zachód Galicyi i przeciwnie.

Starania o założenie wielkiego dziennika idą na seryo, kapitał przeszło sześćdziesiąt tysięcy guldenów ma być zapewniony, idzie tylko o redaktora... Wystawcie sobie wśród tylu wielkości politycznych i literackich nie ma w całej Galicyi męża, który mógłby pokierować nawą przyszłego dziennika, literalnie nie ma... Za to do drugiego organu jest redaktor w osobie księdza Stojałowskiego, a brakuje tej nędznej mamony świata tego zwanej guldenami. Jaka to ironia losu!

Bądź co bądź powstanie tych nowych pism na bruku lwowskim, jest oznaką rodzącej się potrzeby skupienia ludzi dobrej woli i chęci pracy na niwie ojczystej, a jak nam się zdaje w dobrej wierze służenia sprawie narodowej.. Pomiędzy dwoma obozami prasy galicyjskiej, potrzebnym jest organ niwelujący trochę tak odległe kierunki, i jeżeli potrafi wywiązać się ze swego zadania, wydobędzie na jaw wiele sił nowych, które ten stronniczy antagonizm skazał na mimowolną bezczynność.

Codzienne życie Lwowa zaczyna się coraz bardziej organizować przed zimą. Odczyty i koncerta wychodzą na pierwszy plan. Pan Ochorowicz dał nam już dwa, wyjaśniając bardzo zajmujące i nadzwyczaj ciekawe zjawiska psychologiczne, zasypiania i rozbudzania się, dalej na korzyść nieszczęśliwego strażaka, który spadł z drugiego piętra w gmachu ratuszowym podczas przeglądu Straży ochotniczej, pan Lam urządził wieczorek muzykalny, odczytawszy przez siebie napisaną humoreskę pod tytułem „Siedm plag miasta Lwowa“. Przyznajemy, że szanowny prelegent, kierował się tutaj widoczną nieśmiałością, a zarazem kurtoazyą dla naszej stolicy ograniczywszy cyfrę plag do siedmiu. Na dobrą sprawę

możnaby tę liczbę podnieść do siedmdziesięciu a jeszcze byłoby niewiele. Pan Władysław Bełza, którego prelekcye w Iwoniczu tak powszechnie się podobały, zapowiada na korzyść rodziny pozostałej po śp. Hipolicie Stupnickim wieczorek muzykalny wraz z odczytem o poezyach satyrycznych Rodocia, a Towarzystwo muzyczne urządza wielki koncert w sali Narodnego Domu na założenie biblioteki chórów tegoż Towarzystwa. Widzicie z tego łaskawi czytelnicy, że będzie czem nakarmić duszę, nasycić uszy i zrobić uczynek miłosierny; dobrej woli tylko i dobrej chęci, a z pomocą Bożą rozpoczniemy sezon zimowy po dawnemu.

Gdy tak wszystkie sprawy naszego życia zaczynają powoli schodzić na zwyczajne tory, sama tylko Rada miejska nie może porodzić chemika miejskiego i utworzenia paralelnych klas dla szkoły wyznaniowej żydowskiej. A jedno i drugie jest pilne, szczególniej chemik, któryby raz przecie przekonał może szanownych ojców miasta, że daleko pilniej wypadałoby zakryć w dalszym ciągu choć kawałek Pełtwi od Maryackiego placu, niż łamać bruk koło ratusza i urządzać tam ogród z mozaikowemi ścieżkami. Przykro nam jest obmawiać swoje własne miasto i stolicę kraju, ale ma ono wiele podobieństwa do tej elegantki, która nałożywszy na siebie mnóstwo koronek, aksamitów i świecidełek, zapomina o tem, że trzeba mieć pod tem wszystkiem czystą bieliznę. — Ogród na rynku nie zakryje niepraktykowanych nigdzie i wstrętnych dla wszystkich pięciu zmysłów brudów, jakiemi oznaczają się przylegające doń żydowskie ulice. Doprawdy strach bierze i dreszcze przechodzą, kiedy wypadnie iść tamtędy — a cóż dopiero żeby zajrzeć do wnętrza plugawych, odrapanych i w ruinach zostających podwórzy!... Gdzież są komisye sanitarne, które dozwalają w tych norach żyć i oddychać ludziom? Wiele nawet pierwszorzędnych ulic, jak naprzykład, Piekarska zamiast gazu, oświeca się naftowemi kagankami, otwory kanałów zasłonięte tylko ażurową kratą—zioną zarazą, gdy wypadnie koło nich przechodzić, a podczas deszczu, kiedy szanowna rodzica kanałów, pani Pełtew, przyjmuje na łono swoje nieczystości całego miasta—niepodobna przejść po Hetmańskich wałach bez uciekania się do perfumeryi pana Ihnatowicza po wodę lwowską. Czcigodny Lwowie, — oto są najważniejsze grzechy twojego żywota, oto jest twoja bielizna potrzebująca prania, i wprzód nim włożysz na głowę swoją w rynku wieniec z drzew i mozaiki — pomyśl, że adoratorowie twoi widzą, a niestety i czują to wszystko, że zamiast zachwytu nad wdziękami twemi, pluną za tobą powiedziawszy: „asani jesteś flądra!“

* * *

(M.) Jeden z dziennikarzy tutejszych wypracował projekt ustawy budowniczej dla wsi, i poseł Franciszek Jasiński z Zahajpola pod Kołomyją wniósł ten projekt do Sejmu pod swojem nazwiskiem.

W motywach tego projektu powiedziano pomiędzy innemi:

„Czy chaty włościańskie w naszym kraju mają być na zawsze pozbawione światła i powietrza — czy wsie nasze mają być i nadal skazane na pozostawienie w tym nędznym stanie, w jakim dziś znajdują się? Czy w tych ciasnych, niskich, okopconych i ciemnych chatach mają i dalsze generacye żyć w przygnębieniu umysłowem i karłowacieć na ciele? Jeźli kraj cały poczuwa się do wdzięczności dla inicyatorów myśli prawnego uregulowania stosunków budowniczych w miastach, których ludność (licząc w to już Lwów i Kraków) nie dochodzi nawet do 1.200.000 dusz, to niezaprzeczenie w równym stopniu byłaby pożądaną racyonalna opieka prawna dla budownictwa wiejskiego, obchodzącego 4,500.000 mieszkańców.

„Czas nam zaprawdę pomyśleć o tem, ażeby nasze chaty włościańskie w przyszłości nie przedstawiały już tak bolesnego widoku nędzy i zaniedbania jak obecnie!“

Wraz z projektem ustawy budowniczej dla wsi wniósł także p. Jasiński pomysłu tego samego autora projekt rozpisania konkursu na wzorowe plany techniczne zagród włościańskich. Celem tego konkursu miałoby być ustanowienie typowych wzorów najtańszych, najłatwiejszych do wybudowania, a przytem najwygodniejszych najzdrowszych dla ludzi i inwentarza, tudzież najpiękniejszych mieszkań dla mniej zamożnej klasy ludności rolniczej. Wzorów miałoby być kilka—np. domu mieszkalnego o jednej tylko izbie z sienią, i drugiego domu z świetlicą oddzieloną od piekarni; plan zagrody w ścieśnionej ulicy wiejskiej tudzież zagrody wolno wśród pól lub ogrodów położonej; typ włościańskiego domu murowanego; najpraktyczniejszego rozkładu budynków gospodarskich w zagrodzie włościańskiej i t. p.

Wniosek powyższy przekazał Sejm Wydziałowi krajowemu do dokładnego rozbioru krytycznego i do zdania sprawy na najbliższej sesyi. Wydział krajowy przydzielił go znów do z referowania p. radcy Mochnackiemu, niezaprzeczenie jednemu z najznakomitszych znawców gminnych stosunków administracyjnych, jakich posiadamy w kraju. Więc w dobre ręce poruczoną została sprawa obmyślenia środków racyonalnej opieki prawnej nad budownictwem wiejskiem!

* * *

(M.) Przyjąwszy wyższą i niższą szkołę rolniczą w Dublanach na koszt kraju, postanowił Sejm zakupić teraz cały folwark dublański na rzecz funduszu kraju za sumę 48.000 zł. w. a. Przy rozprawach komisyi sejmowej tudzież pełnej Izby nad tym przedmiotem drastyczne czyniono uwagi nad haniebnym stanem gospodarstwa w Dublanach, które przecież nosiło tytuł „wzorowego.“ Stan budynków tudzież wszelkich urządzeń i przyborów naukowych, należących do samejże szkoły także znalazł Wydział krajowy w naj smutniejszym stanie, z czego wynika, iż doprowadzenie zakładu dublańskiego do jakiego takiego ładu będzie wymagało w bliskiej przyszłości bardzo znacznych wydatków ze strony funduszu krajowego. I tak np. konieczna zachodzi potrzeba wybudowania domu mieszkalnego dla uczniów, tudzież laboratoryum chemicznego, co pochłonie najmniej około 50.000 złr. w. a., i wiele innych podobnych niespodzianek czeka nowego właściciela i opiekuna Dublan.

Roztrząsanie tych wszystkich okoliczności nasunęło niektórym członkom komisyi kultury krajowej pytanie, czy nie lepiej byłoby przenieść wyższą szkołę rolniczą z Dublan do Lwowa?

Możnaby uskutecznić w dwojaki sposób: albo z wyższej szkoły rolnictwa, ze szkoły leśnej tudzież projektowanej szkoły weterynaryi utworzyć z tych szkół samoistny oddział przy szkole politechnicznej, zapewniwszy rozumie się w odpowiedniej mierze prawa zwierzchnicze kraju nad tymi zakładami.

* * *

(M.) Wniosek Wydziału kraj. o zaciągnięcie przez kraj pożyczki w sumie 5.000.000 złr. ten cel, ażeby ratować ludność rolniczą z niszczących długów lichwiarskich, upadł w Sejmie głównie z tego powodu, że obawiano się, iż całą sumę przez kraj pożyczoną, zabierze Bank rustykalny i lichwiarze prywatni na umorzenie dawnych zaległości, a natomiast wpakują ciemne włościaństwo w nowe długi. Cała akcya sejmowa w tym kierunku skończyła się, jak wiadomo tylko na tem, że upoważniono Wydział krajowy do wspierania lokalnych stowarzyszeń kredytowych kredytem do wysokości 500.000 zł. w. a.

* * *

(M.) Źle się dzieje z przemysłem domowym. Z sumy 9.000 złr. wyznaczonej przez Sejm na poprzedniej sesyi Wydziałowi krajowemu do rozporządzenia w ciągu bieżącego roku na cele wspierania przemysłu domowego, mógł Wydział zużytkować zaledwie tylko 2.800 złr. na subwencye dla szkół rękodzielniczych. Niestety, nie było co więcej subwencyonować! Kwitnące przez jakiś czas szkółki koszykarstwa w Krakowskiem zostały rozwiązane; kołomyjska szkoła garncarstwa także już podobno nie istnieje, tylko na szkołę snycerstwa w Rymanowie udzielił Wydział krajowy 500 złr. zapomogi. Oprócz tego wyasygnowano 1.200 złr. na szkołę koszykarstwa, którą ks. Jerzy Czartoryski zakłada w Jarosławiu, 800 złr. dla nowo powstającej szkoły koszykarskiej w Rudniku, w powiecie Niskim, i 300 złr. na stypendyum dla jednego z garbarzy z Pruchnika, Staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego powstaje też szkoła snycerstwa w Zakopanem w Tatrach.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Berlicz Sas.* (Juliusz hr. Strutyński). Poezye i wspomnienia jego wierszem, wydanie pośmiertne. 8ka, str. 328. Kraków 1878. 3.20.

— *Berzewiczy E.* Wieczory starego żołnierza. 8ka, str. 267. Lwów 1879. 1.80.

— *Goethe.* Poezye wybrane tłumaczył Hugo Zathey. 16ka, str. 109. Kraków 1879. 1 złr.

— *Kraszewski J. I.* Jak się Pan Paweł żenił i jak się ożenił, powieść. 8ka, str. 199. Warszawa 1878. 1.50.

— *Limanowski B.* Socyalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju. 8ka, str. 98. Lwów 1879 50 ct.

— *Listy księcia Jerzego Zbaraskiego,* kasztelana krakowskiego z lat 1621—1631, wydał dr. August Sokołowski 4° str. 171. Kraków 1878. 1.80.

— *Merunowicz Teofil.* O c. k. uprzywilejowanym galicyjskim zakładzie kredytowym włościańskim we Lwowie. Rozprawa druga. 8ka, str. 34. Lwów 1878. 40 ct.

— *Peschel Oskar.* Historya wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku. (Biblioteki historycznej tom 24). 8ka, str. 480. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1879. 5 złr. Oprawne w płótno ang. 5.80.

— *Przybylski Zygmunt.* Krytyka teatralna w Krakowie. 8ka, str. 44. Kraków 1878. 40 ct.

— *Renat Kartezyusz.* Rozprawa o metodzie jak dobrze kierować swym rozumem i szukać prawdy w naukach, przytem list do księdza Picot oraz re-

guły do kierowania umysłem przełożone przez W. Dobrzyckiego. 8ka, str. 186. Lwów 1878. 1.60.

— *Saulsonowa Rozalia z Feliksów.* Dzieje starego testamentu z dodaniem dalszego ciągu historyi ludu izraelskiego aż do Machabeuszów w pytaniach i odpowiedziach, ułożone i dla młodocianego wieku zastosowane, mianowicie dla młodzieży wyznania Mojżeszowego służące. 8ka, str. 129. Kraków 1878. 60 ct.

— *Treterowa Józefa.* Wrażenia z podróży na Wschód. 8ka, str. 116. Lwów 1879. 80 ct.

— *Wildt Karol.* Powiastki ze świata dziecinnego. 8ka, str. 96 w tekturce, Kraków 80 ct.

— *Woronicz Paweł.* Sybilla. 8ka, str. 82. (Biblioteki Mrówki tomik I) wydanie drugie. Nakład Księgarni Polskiej 1879. 25 ct.

— *Zdanowicz A.* Rys dziejów literatury polskiej opracował i do ostatnich czasów doprowadził L. Sowiński. Tom V (ostatni). 8ka, str. 342, cena całego dzieła 17 złr.

— *Zwyczaje towarzyskie.* (Le savoir-vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte, według dzieł francuskich spisane. Wydanie trzecie poprawione i pomnożone. 8ka, str. 185. Kraków 1879. 1 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Opuścił prasę pierwszy zeszyt dzieła p. t. *Zastosowania geologji* do rolnictwa, budownictwa, inżynieryi cywilnej i górniczej, hutnictwa, ceramiki, medycyny, farbiarni, wyrobów chemicznych, sztuk, przemysłu, malarstwa i jubilerstwa *Dawida Poge.* Z upoważnienia autora na polskie przełożył i do potrzeb kraju zastosował Leon Syroczyński, inżynier cywilny. Wydanie illustrowane. (Cena 60 centów).

*** W dalszym ciągu *Biblioteki Mrówki* opuściły prasę Wł. Syrokomli Ulas, sielanka bojowa z czasów wojen Napoleońskich i J. Słowackiego Mindowe, król litewski, obraz dramatyczny w 5 aktach.

*** Kraszewski o „Pięknej". W swoim czasie podaliśmy recenzyą o tym ostatnim pięcioaktowym dramacie Wł. Okońskiego.

Dziś przychodzi nam z prawdziwą przyjemnością przytoczyć zdanie o „Pięknej" wygłoszone przez czcigodnego Kraszewskiego.

„Wielce utalentowanego autora O. Makarego, który takiej narobił wrzawy swojego czasu, i — Niewinnych — p. Wł. Okońskiego, wyszedł nowy dramat — „Piękna". Dramat piękny jest, powiedziałbym nieledwie zanadto piękny. — Tak, bo wszyscy w nim przedziwnie, dowcipnie, wyszukanie pięknym mówią stylem. Życia, ciepła, namiętności w nim niezmiernie wiele. Główna postać Emilii wystudyowana wybornie, odmalowana doskonale. Innym też na charakterze nie zbywa. Zarzuciłbym budowie śmierć Ireny w drugim akcie, nagłe zniknięcie tej postaci, którąby w dalszym rozwoju mogła być autorowi przydatną, a rozcina na wpół dramat, nie zostawując po sobie śladu, choć jest nadzwyczaj tragiczną. Przedewszystkiem p. Okoński, jak tego dał dowód w dwu swych prześlicznych dramatach greckich, jest artystą i poetą; a to co napisał dziś, gdy w nim jeszcze wszystkie siły i prądy młodości kipią i tryskają — wiele się po nim spodziewać każe, gdy potężnego talentu panem się stanie. Wolimy zaprawdę w tych pierwszych objawach twórczości za wiele ognia i siły, zbytnią oryginalność i wybitne piętno niż startą powszedniość, bladą i zimną. — Gdzie jest nadto, tam miarę przynosi czas, gdzie nie ma nic — już i sam Pan Bóg z próżnego nie naleje".

*** Z literatury czeskiej. W literaturze czeskiej powieściowej znów się objawia ruch większy. Powieści i nowelle różnych znakomitszych pisarzów czeskich, rozrzucone po wielu pismach obecnie wydawane będą oddzielnie lub zbiorowo. Przedewszystkiem należy wymienić: „Spisy Karoliny Svetle". (Zbiór pism Karoliny Swietlej) których nakładem Gregra i Dattla wyszły 3 tomy. Zbiór pism Aloise Iiraska (Aloizego Iiraska) zawierające najnowszy jego utwór „Povidky z hor" (opowiadania z gór) wydane przez księgarza T. Mourka. Tu się mieszczą najpierwsze prace młodego, a jednego z najwięcej lubionych przez ziomków i wiele obiecującego pisarza czeskiego.

Wyjdą także „Sobrane cernohorské providky". (Zbiór powieści czarnogórskich) nakładem samego autora Józefa Holeczka. Z pism jego wymownie się okazuje wpływ podróży na młody talent. Krótki pobyt Holeczka w Czarnogórze dostarczył mu bogatego zapasu powieści, tem więcej zajmujących, że w nich odbija się z całą siłą życie wrzące słowian najbardziej na południe wysuniętych, treścią swą zaś zapoznaje czytelnika dokładniej z życiem rodzinnem południowej słowiańszczyzny, aniżeli poznałby go z obszernego nawet opisu podróży.

Na koniec zaznaczymy jeszcze wydanie zbiorowe poezyi Halika („Souborne vydani spisu Halkovych"), które przedsiębierze p. F. Szulc. Sprawozdanie królewskiego towarzystwa czeskiego nauk za rok 1877/8 odznacza się bogactwem treści a zarazem świadczy, że instytucya ta z każdym rokiem więcej się rozwija. Najprzód jest opis posiedzenia odbytego w dniu 10. kwietnia i zamieszczone 2 rozprawy znakomite mianowicie: czeska profesorka W. W. Tomka: „Stosunek Czech z Polską podczas wojen Husyckich", treść jej nieobojętną zapewne będzie i dla nas — i niemiecka: profesora Władysława Czelakowskiego (Ladislava Celakovského). „Zur neueren Geschichte der Botanik", Następnie idzie bibliografia członków towarzystwa, których pojedyńcze prace z czasem towarzystwo zapewne ogłosi. W sprawozdaniu za rok przeszły zamieszczoną była bibliografia zmarłego Franciszka Palackiego, w tegorocznem zaś zawarte są pisma i rozprawy: Józefa Ireczka i I. A. barona Helferta. Dalej następuje przegląd towarzystw, z któremi towarzystwo czeskie ma stosunki.

Wyszedł także drugi i ostatni zeszyt zajmującego dzieła: „Život a pusobeni Fr. Ondieje Poupete". (Życie i charakter Franciszka Ondieja Poupieta) przez Antoniego Bielohubka.

*** *Gaz. war.* rozpoczęła w fejletonie druk „Kory" Hektora Malot'a,

*** W *Gazecie kieleckiej* znajdujemy wielce ciekawy „Rzut oka na przemysł górniczy we wschodnim okręgu."

*** Wkrótce ukaże się w handlu księgarskim nakładem *Medycyny* wydawnictwo p. t. „Rocznik medycyny polskiej."

Składać się ono ma z działu kalendarzowego, naukowego i informacyjnego.

Będzie to jednem słowem obszerny i wyczerpujący kalendarz dla lekarzy.

*** „Dwutygodnik naukowy" podaje kilka ciekawych szczegółów o stosunku Rubensa z polskim dworem, poczerpniętych z notat Aleks. Przezdzieckiego, z którym okazuje się, że wielki malarz flamandzki, w imieniu infantki traktował z królewiczem Władysławem w Bruxelli, a następnie d. 6 czerwca 1625 r. przyjmował go u siebie w Antwerpii, razem z infantką, na rozkaz której portret Władysława malował. Uczeń jego Piotr Soutmans, był malarzem króla polskiego. W listach Rubensa znajduje się także kilka wzmianek o Polsce, o których obszerniejsze szczegóły podał Reiffenberg w swoich Recherches sur Rubens.

*** Mowa kwiatów. Pod tym tytułem wyszła we Lwowie gra towarzyska dla osób dorosłych, polegająca na rozwiązaniu pytań (wierszem) w duchu natury przypisywanej rozmaitym kwiatom. Gra rzeczona dosyć intelektualna, w porównaniu z innemi, w salonach naszych zapewne podczas zimy znajdzie powodzenie.

*** Antoni Krajewski wydał poemat pod tyt.: „Ostatni rycerz." Pomimo nadzwyczaj małej liczby utworów, które w szacie poetycznej ukazały się w epoce bieżącej, prasa chciwa nowości, uwagi na rzeczony poemat, nie zwróciła dotąd.

*** Wyszedł z druku zeszyt publikacyi w języku francuskim *Revue Slave.*

Słyszeliśmy, że w tem wydawnictwie zajść mają wkrótce pewne reformy. Mianowicie *Revue* wychodzić będzie raz na miesiąc, ale każdy zeszyt zawierać ma trzysta stronic druku zamiast stu pięćdziesięciu, tym sposobem redakcya uniknąć zamierza podziału na drobne części artykułów i dzieł, które przez takie rozdrobnienie wiele tracą w czytaniu.

Dzienniki francuskie, *Gaulois, Debaty, l'Evenement, Le Sport,* etc., żywo zainteresowały się nową publikacyą.

*** Nauczyciel p. Klemens Świdziński przygotowuje obecnie do druku przekład „Historyi pedagogiki." dyrektora szkoły normalnej w Paryżu Paroza. Dziełka w tym rodzaju nie mamy dotąd przyswojonego naszej literaturze.

*** *Wędrowiec* powziął wielce szczęśliwą myśl. W ostatnim mianowicie numerze wyraził on zamiar pomieszczenia w swych szpaltach szeregu wzmianek o rodakach naszych, pracujących ostatniemi czasy gorliwie na niwie wiedzy, których imiona znane dobrze z prac naukowych Europie, mniej są wiadome naszemu ogółowi.

Do szeregu takich mężów pracy zalicza *Wędrowiec* Dybowskiego i Syrskiego, których życiorysy poprzednio już podał.

W dalszym ciągu podaje w tym kierunku w ostatnim numerze pismo to życiorys profesora wszechnicy lwowskiej dr. Bronisława Radziszewskiego, którego prace nad węglowodorami i fosforescencyą ciał organicznych powszechnie są w Niemczech znane.

Idąc za *Wędrowcem,* zaznaczymy tu, że prof. R. urodzony w 1838 roku, zainstalował się w 1872 roku we Lwowie, a obecnie jest członkiem wielu instytucyi naukowych i redaktorem *Kosmosa.*

Wracając do zamiaru *Wędrowca,* możemy mu tylko na tej drodze życzyć powodzenia.

*** Pan Ernest Swieżawski, znany z kilku prac historycznych, wydał świeżo rozbiór krytyczny pierwszych pięciu powieści Kraszewskiego pt. „Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego". Autor ocenia te prace głównie ze stanowiska historycznego.

*** Wydawnictwa naukowe pióra Polaków, szczególniej po niemiecku, mnożą się gwałtownie; z ostatniego miesiąca mamy do zanotowania kilka dzieł z tej sfery a mianowicie: Podwysockiego „Anatomische Untersuchungen über die Zungendrüsen d. Menschen und d. Sängethiere", Kamińskiego „Vergleichende Anatomie der primulacoen", Nawarskiego: „Die Jagellonen-Kapelle am Dame zu Krakau", Wasilewskiego: „Geschichte der Instrumental Musik". Nie brak i francuskich wydawnictw i tak: niedawno ponowiono edycyę Aramińskiego (historyi polskiej), dokumentów Angeberga (recueil des tanités), a któż zliczy artykuły treści ekonomicznej Trepki (Neckando) Deskusa (po włosku), Wyzińskiego i tylu innych. Obce piśmiennictwa zabierają na użytek swój, naszą własność intelektualną, i nie można się temu dziwić; książki poważne nie mają u nas pokupu, myśl przeto ludzka znajduje sobie ujście pracując na rzecz tych społeczeństw, które pracę poważną umieją ocenić. Protekcya niektórych wydawnictw naukowych, złemu nie zaradza; drukują się, bo mają środki, ale ich nikt nie czyta. Uczeni potrzebują poparcia w całej publiczności, zapłata chociażby sowita za pracę, nie wynagrodzi obojętności ogółu. W tem leży tajemnica, czemu Polacy piszą po niemiecku.

Wiadomości ekonomiczne i gospodarskie.

*** Pan W. Kraczkiewicz, inżynier, w Warszawie, przy ulicy Kruczej Nr. 10 zamieszkały, ogłasza o nowym ulepszonym przez niego sposobie drenowania, które ze względu na ważność poruszonej kwestyi, zwraca na siebie szczególną uwagę.

Ulepszenie, o którem mowa, zależy na urządzeniu sączków drenowych w ten sposób, żeby te z założonego w odpowiednim miejscu, lub naturalnego rezerwoaru — mogły być w razie potrzeby tj. w czasie posuchy, napełniane wodą, która wydostawszy się zewnątrz drenów na tych samych prawach, na mocy których z przesyconej wilgocią przestrzeni w nie wchodzi zwilżałaby warstwy roli w czasie posuchy, a tem samem podnosiłaby słabnącą w tym czasie wegetacyę. Też same więc linie drenów, które służą do odprowadzenia zbytecznej wody na danej przestrzeni, służyłyby w czasie suszy do jej zasilania żądaną ilością wody. Woda stosownie do potrzeby mogłaby dłużej lub krócej być zatrzymywaną, za pomocą odpowiedniego systemu klap, przy tem cyrkulacya powietrza w drenach, a tem samem w warstwach roli, więcej przy takim systemie uwzględnianąby być mogła.

Tęż samą teoryę można zastosować do łąki, czyli że łąka w ten sposób urządzona byłaby niejako od wewnątrz irrygowaną Na podobnej też teoryi za-

sadza się system Petersena zwilżania łąk, który jednakże okazał się za mało praktycznym.

Różnica kosztu między drenowaniem zwyczajnem, a ulepszonem byłaby niewielką, w miejscowości naturalnie takiej, gdzie rezerwoar z łatwością dałby się urządzić.

System ten nigdzie dotychczas zastosowanym nie był, wyroku więc stanowczego o jego ważności lub przeciwnie, wydać jest trudno. Doświadczenia, które p. Kraczkiewicz z wiosną zrobić nieomieszka, najlepiej tę kwestyę rozjaśnią. Są tu jednakże wady, które ważność systemu zmniejszają, a które łatwo nawet bez wykonania próby wykazać. I tak: system ten przeprowadzonym być może tylko na polach, mających spodnią warstwę ziemi zupełnie nie przepuszczalną w niewielkiej głębokości; inaczej bowiem woda puszczona w sączki wydostawszy się na zewnątrz nie pójdzie do góry w warstwy ziemi, które zwilżenia potrzebują, a w której rośliny swe mają korzenie, lecz opuści się w warstwy dolne, pod dreny i celu tym sposobem osiągnąć nie możnaby było. Może kto zauważyć, że właśnie i zwyczajne drenowanie tam się tylko przeprowadza, gdzie spodnia warstwa jest nieprzepuszczalną; lecz w ulepszonem drenowaniu sączki mogłyby być, zdaje nam się, najwyżej do głębokości cali 20 zakładane, ażeby żądany cel osiągnąć, gdy tymczasem drenowanie zwyczajne wymaga ułożenia sączków najpłyciej na 3 lub 4 stopy. Z tego więc wynika: 1) że nie wiele jest miejscowości mających tak nisko położenie przepuszczalne, i które pozwalałyby na tak płytkie ułożenie sączków. 2) Płytkie ułożenie sączków, wymagałoby dwa lub trzy razy więcej linij drenów na danej przestrzeni, jeżeli te mają działać, jako dreny odprowadzające wodę i zasilające tąż wodą, przestrzeń, zawartą między liniami drenów. 3) Gęstsze linie drenów powiększają znacznie koszt drenowania. 4) Dreny założone w małej głębokości czynią drenowanie mniej trwałem, lub nawet bezcelowem, bo u nas ziemia marznie często do dwóch stóp, dreny zatem popękaćby mogły. W innym klimacie wpływ to większy miećby mogło.

W każdym razie dopiero praktyka rozstrzygnie o ważności naszych zarzutów przeciwko pomysłowi, który mógłby naprzód popchnąć rolnictwo, i chociaż w części zwalczałby niepomyślne warunki natury, z jakimi człowiek boryka się ciągle jest przymuszony.

*** W dniu 18 b. m. odbyła się w Holker in Furnesse w Anglii doroczna sprzedaż przez licytacyę, trzydziestu sztuk bydła rogatego, z zarodowej obory ks. Dovonshire.

Sprzedaż przyniosła ogółem olbrzymią kwotę za sztuk 30,— 20,000 funtów szterl. czyli licząc funty po obecnym mniej więcej kursie 200.000 złr. Najwyższą cenę otrzymała krowa, nosząca imię „Baronessy“, zapłacono za nią 2.660 funtów czyli 26.600 złr.

Sprzedaży asystowali naumyślnie w tym celu przybyli, margrabia Hartington, p. Brigth i naturalnie, sam właściciel tak cennych okazów bydła.

*** Na ostatniem posiedzeniu zarządu towarzystwa rolniczego niemieckiego prowincyonalnego w Poznaniu uchwalono, *ogólną wystawę rolniczą w Bydgoszczy* odłożyć do r. 1880 natomiast 10 i 11 maja 1879 r. urządzić w Poznaniu wystawę tucznego inwentarza.

*** Odezwa konkursowa. W dopełnieniu uchwały XII rady ogólnej z dnia 24 lutego b. r. komitet Towarzystwa gospodarskiego galic. rozpisuje niniejszem konkurs na dziełko popularnie napisane pod tytułem: „Przewodnik o hodowli bydła w kraju naszym“ pod następującemi warunkami:

1) Praca ma obejmować 3 do 10 arkuszy druku w 8ce w następujących rozdziałach:

a) O ważności i zadaniu hodowli bydła jako jednej o gałęzi produkcyjnych krajowego rolnictwa; b) o kierunku hodowli i zastosowaniu jej do miejscowych stosunków ekonomicznych, z uwzględnieniem budowy i właściwości odpowiednich ras i zawodów; c) zasady i metody chowu z uwzględnieniem obecnego stanu bydła rogatego w kraju naszym; d) zasady żywienia z uwzględnieniem bydła różnego wieku i przeznaczenia; e) warunki zdrowego utrzymania bydła; f) wytknięcie wad w dzisiejszem kierunku chowu bydła; g) wreszcie wskazówki co do właściwego obchodzenia się z nabiałem.

2) Rękopisy należy nadsyłać pod adresem: Do komitetu c. k. Towarzystwa gospodarskiego galic. (Zakład Ossolińskich I. piętro we Lwowie) z dołączeniem w zapieczętowanej kopercie tego samego godła co na rękopiśmie.

3) Termin do nadsyłania prac w tym względzie oznacza się najdalej do 1. listopada 1879.

4) Jako nagrodę za pracę, którą komisya konkursowa uzna za najlepszą — przyznaje komitet 350 złr. za pracę drugorzędną, poleconą jednak przez komisyę konkursową złr. 250.

Rękopism pozostaje własnością autora, z obowiązkiem wszakże wydrukowania go najdalej w ciągu 3 miesięcy po przyznaniu nagrody, inaczej prawo wydrukowania komitetowi przysługiwać będzie.

5) Komisya konkursowa orzeczenie swe do zatwierdzenia komitetowi Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego przedłoży, który ostatecznie o przyznaniu nagrody decyduje.

Z komitetu c. k. Towarzystwa gosp. galic.

Lwów dnia 1. czerwca 1878.

*** Leśniczy Gastel 82 letni starzec, głośny w Saksonii z posiadania skutecznego lekarstwa przeciw wściekliźnie, ogłasza w Gazecie Lipskiej: „Niechcąc dalej trzymać w tajemnicy ważnego, bo doświadczonego środka przeciw w ściekliźnie, oświadczam, że takowy polega na następującem postępowaniu: należy gąbką umaczaną w mięszaninie ciepłego winnego octu i letniej wody wymyć jak najstaranniej ranę, obetrzeć czystem, starem płótnem. Następnie na tak osuszoną ranę nalać tyle kropel kwasu solnego (acidum muriaticum) ażeby rana była całkowicie kwasem zakryta i pozostawić kwas dopóki się sam nie ulotni. Środek ten, podobno, jak najskuteczniej działa.

Płótno i gąbkę użytą najlepiej, zniszczyć aby jad za ich pośrednictwem komuś się nie udzielił.

Nekrologia.

† Dnia 17. października b. r. umarł we Lwowie zasłużony profesor tutejszego uniwersytetu *Janota*.

† Dnia 18. października b. r. umarł we Lwowie Hipolit Stupnicki, weteran dziennikarzy lwowskich, redaktor *Przyjaciela domowego*, który wydawał przez lat 27 i założyciel *Gazety narodowej*.

ROZMAITOŚCI.

*** W „Pekińskiej gazecie oficyalnej“ zamieszczonym został dekret cesarza Kwangeru, na mocy którego bankierowi chińskiemu w Szanchaju, Wu-ta-tu-łu (który podczas ostatniej z Kaszgarem wojny pożyczył rządowi cesarskiemu kilka milionów, policzywszy bardzo mały procent), podarowanym zostaje w dowód szczególnej łaski bogdychana, żółty kaftan.

Kaftan ów z szerści żółtej, z niezwykle długiemi rękawami, od jak najdawniejszych czasów uważanym jest za rzecz nadzwyczaj szacowną i tylko w bardzo rzadkich razach stanowi nagrodę. Na przedniej stronie rzeczonego kaftana znajduje się wyszyty złotym i czarnym jedwabiem smok, herb cesarstwa chińskiego.

Z europejczyków tylko dwóch otrzymało ten dar, tak wielce zaszczytny; turysta afrykański, obecnie namiestnik Sudanu, Gordon, za to, iż podczas powstania tajpingów niejednokrotnie wyświadczył rządowi chińskiemu doniosłe przysługi, i minister francuski, Hikel, który wybudował arsenał wojenny w Mamoju, w północnej części Chin.

*** *Kapitan Cameron.* W tych dniach kapitan Cameron popłynął na wschód okrętem Wrunte. Anglja poleciła mu zbadanie naukowe miejsc, gdzie ma być przeprowadzona kolej żelazna.

Misya, której się podjął badacz afrykański, jest pełna niebezpieczeństw, kraje bowiem które trzeba przebywać są rządzone przez przesądnych muzułmanów.

Sułtan turecki nakazał surowo gubernatorom Syryi i Mezopotamii czuwanie nad bezpieczeństwem Camerona i jego towarzyszów. Szach perski, który o ile się zdaje jest przychylny kolei żelaznej, obiecał za przybyciem wyprawy do państwa Perskiego dać kapitanowi straż wojskową dość silną do obrony od napadu nieprzyjaznych plemion.

*** Wiadomo że w Anglii istnieje znaczna liczba szybkobiegaczy, których jedynem zatrudnieniem jest: zawierać zakłady i przebiegać dniem i nocą przestrzenie prawdziwie bajeczne.

W bieżącym miesiącu młoda kobieta p. Anderson, stanęła jako współzawodniczka tych niezwyciężonych biegaczy. W Lynn Regis w hrabstwie Norfolk przebiegła ona w przeciągu 672 godz. (28 dni) oznaczoną przestrzeń 400 mil. Dobiegłszy do mety p. Anderson nie była bardzo zmęczoną i wśród oklasków tłumu biegła jeszcze mil kilka. —

*** Niebezpieczny zakład. Jakiś gastronom za niewysoką stawkę, 4 funtów, podjął się zjeść nieopierzoną jaskółkę, dwa ślimaki, oraz dwie żywe ropuchy. Wygrał zakład i umarł. Rzecz jak donosi Graphic, działa się w Liwerpoolu.

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.

IV.

MIDHAT BASZA.

Niedawno odjechał z Marsylii pewien człowiek, w którym opinia publiczna pokłada przyszłość Turcyi... Midhat pasza.

Można powiedzieć, iż Midhat udał się na wygnanie niemal dobrowolnie; jedno słowo z jego strony, mogło było z pewnością unicestwić rozkaz, nakazujący paszy opuścić kraj ojczysty. Dość było owemu ulubieńcowi ludu ottomańskiego, uczynić jaki znak, wydać okrzyk o pomoc, a wszyscy mieszkańcy Stambułu sprzeciwiliby się nietylko odjazdowi jego, ale i upadkowi! A jednak ręka jego nie dała tego znaku, z piersi jego nie wydarł się ów okrzyk. Midhat, twórca nowej konstytucyi, sam przyjął chętnie rolę jej pierwszej ofiary.

Podczas kilku miesięcy wielki wezyr-wygnaniec przebywał w stolicach Europy, a wreszcie udał się do Anglii, ażeby się tam osiedlić. Angielscy mężowie stanu, poznawszy bliżej dostojnego wygnańca, nabrali wkrótce przekonania, że tylko on, za pośrednictwem swej energii, sprężystości i wielkich zdolności dyplomatycznych, może wskrzesić obumarłą Turcyą, dodać jej sił żywotnych.

Przed odjazdem do Berlina, pełnomocnicy Anglii korzystali z obecności Midhata w Londynie, i często zasięgali rad rozmaitych. Od czasu ukończenia kongresu, przyłączenia Cypru i protektoryatu nad Azyą mniejszą, ludzie gabinetu Saint-James przemyśliwali nad odwołaniem Midhata do Turcyi.

Sułtan zgodził się na to pod pewnymi warunkami: Midhat-pasza powinien był sam prosić o pozwolenie powrotu. Były wielki wezyr z początku nie chciał żadną miarą prosić o owo pozwolenie, jak o łaskę: uważał je bowiem słusznie za naprawienie błędu ze strony sułtana; w końcu jednak napisał wymagany list, ażeby się nie stać przyczyną nowych niesnasek i zawikłań. Na żywe naleganie Layarda, sułtan zawiadomił Midhata, iż życzy sobie wielce, ażeby tenże zamieszkał na wyspie Krecie, dokąd przyszle na jego przyjęcie swego szambelana. Co więcej, oddał na jego potrzeby cały dom rządowy, wyznaczył mu 60,000 franków pensyi, oraz nadesłał 25,000 franków na koszta podróży.

Midhat-pasza, zadowolony, pojechał...

Co się tyczy strony fizycznej, Midhat-pasza jest wzrostu średniego, ma oblicze, tchnące niezwykłą energią, włosy bardzo rzadkie i siwe tak, jak i broda, usta wielce ruchome. Spojrzenie jego z po za okularów znamionuje rzadką inteligencyę, oraz przenikliwość. Oko o płomiennych blyskach, jest tak badawcze, że często wprawia w kłopot rozmawiającą osobę z Midhatem. Przed tem spojrzeniem Dyogenes z pewnością zagasiłby swą latarkę.

W 1868 roku wybuchło, jak wiadomo, powstanie w Bulgaryi, pod naciskiem komitetu słowiańskiego. Zaopatrzony w jak najzupełniejsze pełnomocnictwo, Midhat-pasza na czele siedmdziesięciu jeźdźców i... muzyki wojskowej udał się do Tyrnowy, gniazda sił powstańczych. Tam zebrał pięciuset głównych powstańczych dowódców, uzbrojonych od stóp do głowy, i podczas kiedy owa jego muzyka grała marsze wojenne, sam pośród powstańców bez broni, dowiódł takiej odwagi i energii, iż dla siebie wzbudził w nich szacunek. W kilka dni później dwunastu największych winowajców oddano w jego ręce i powstanie zostało poskromione. W tym rysie przedstawia się cały ów człowiek.

Do trzydziestu pięciu lat Midhat nie mówił ani słówka po francusku, dzisiaj zaś włada nim tak biegle, jak mieszkaniec nadsekwańskiego grodu.

O dowcipie Midhata paszy, opowiadają mnóstwo anegdotek; przytaczamy tu z nich jedną:

Pewnego dnia przy obiedzie (było to już po otrzymaniu przez wielkiego wezyra, pozwolenia na powrót do Turcyi), Midhat odezwał się złośliwie do współbiesiadników:

— Podczas pobytu w Europie widziałem wiele operetek, zapamiętałem jednak tylko jedną aryjkę z „Pięknej Heleny“:

„Jedź do Krety,
Jedź do Krety...“

PIERWSZY STATEK PAROWY W WĘGRZECH.

przez

MAURYCEGO JOKAJA.

Książę X. był pierwszym magnatem w Austryi, hr. Y. był pierwszym kawalerzystą w Węgrzech i Argo był w obudwóch monarchiach pierwszym statkiem parowym.

Historya tych trzech pierwszych wielkości, gdy się takowe razem połączy, może być wcale zajmującą.

Ponieważ dzisiaj każdemu już tak w Węgrzech jako i w Wiedniu wiadomo — że hrabia Y. był zięciem księcia X.. przeto poczynamy historyę właśnie na krótko przed zawiązaniem miłośnej intrygi, a poczynamy najprzód od parowego statku.

Są ludzie co utrzymują, jakoby ten statek był rezultatem małżeństwa pomiędzy hrabią Y. a księżniczką X. (prosimy wyrażenia tego nie brać dosłownie, gdyż takich księżniczek nie ma jeszcze w Austryi; chcieliśmy tylko powiedzieć, że książę otrzymawszy przywilej na założenie Towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju, ofiarował córce swojej 500 akcyi na szpilki jako prezent ślubny). Ale to jest niezgodne z prawdą; rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Ów statek parowy, skojarzył właśnie małżeństwo pomiędzy hrabią Y. a księżniczką X., co nie jednemu wyda się zapewne dziwnem, iż parowiec takiemi sprawami zajmować się może.

Książę miał córkę, przezwaną przez publiczność wiedeńską „piękną Karlotą“, tudzież młodszą siostrę, której dostała się nazwa „Księżniczka o świńskiej głowie“.

Zaprawdę, przezwanie niekoniecznie grzeczne; ale *vox populi vox Dei*, a my przy najlepszej nawet chęci, nic na to poradzić nie możemy.

Hrabia Y. przystojny i słusznego wzrostu mężczyzna, podobał się bardzo córce a także i siostrze księcia. Dzięki jednakże prawom kościelnym, mógł on tylko jedną z tych dam pojąć za żonę.

Jakoż hrabia Y. oświadczył się o piękną Karlotę; książę X. przeciwnie, pragnął oddać mu w małżeństwo siostrę swoją i dziwił się, że hrabiemu to nie było wszystko jedno.

Z tego powodu wywiązały się niemiłe następstwa; hrabia dostawszy na pół odkosza, przestał bywać w domu książęcym, skwitował z przyjaźni i zawrócił w inną stronę.

Spotkali się obydwa dopiero na uroczystości, gdy pierwszy statek parowy miał rozpocząć pierwszą swoją podróż z Pesztu do Weitzen; na pokładzie odbyło się poświęcenie i zarazem obiad galowy.

Dla nas, wszystkie te bardzo zajmujące ceremonie, uważane być mogą za stracone, gdyż my trzymamy się strony hrabiego Y., który zdala od strzałów z moździeży i butelek szampańskiego wina, jechał wzdłuż brzegów Dunaju stroną peszteńską, zrobiwszy poprzednio zakład z księciem X., o funt pięcioguldenowych banknotów, że on konno prędzej dostanie się do Weitzen, aniżeli książę statkiem parowym.

Książę był człowiekiem praktycznym; pływał on już niejednokrotnie w Londynie statkami parowemi po Tamizie i wiedział z doświadczenia, ile minut potrzebuje taki potwór wywijający kołami, dla przepłynienia jednej mili angielskiej pod wodę; nie mniej także, umiał on doskonale obrachować czas, jakiego potrzebuje najszybszy angielski „folblut,“ dla przebieżenia również odpowiedniego dystansu. Porównawszy tedy jedno z drugiem, przyjął wyzwanie, będąc pewnym wygrania zakładu.

Koń i statek jednocześnie ruszyli z miejsca. Przybrany w wieńce i chorągwie, „Argo“ popłynął dumnie buchając kłębami dymu, pośród radośnych okrzyków i wiwatów zgromadzonego tłumnie na brzegach ludu, podczas gdy hrabia Y., puścił się z Wurmbofskiej przystani, przez piaszczyste wydmy i kałuże, jakich tam wówczas nie brakowało, a na miejscu których obecnie wznoszą się wspaniałe pałace i rozmaitego rodzaju fabryczne zakłady. Przebiegł przez jaki tuzin ogrodów warzywnych ścigany przekleństwami ogrodników i salutowany rotowym ogniem brukwi i buraków rzucanych za nim przez kobiety; przesadził przez kilka płotów i przez zamknięte wrota jakiegoś parkanu; stratował dużego łańcuchowego psa, który urwawszy się z budy, biegł za koniem ujadając zapalczywie; wpadł na łeb w dół kartoflany, gdzie nawet jedną ostrogę utracił; skąpał się w bagnistym strumieniu Rakos, iż zaledwie z błota i szlamu wydostać mu się udało i nabawił śmiertelnym strachem jakąś włościankę, gdy przeskakując przez drabiniasty wóz, strącił jej z głowy kapelusz.

W Dunakes odbywał się właśnie jarmark, kiedy przez rynek wypadało hrabiemu galopować; pomiędzy nagromadzonym drobiem, trzodą chlewną, pomiędzy przekupniami, zrobiło się wielkie zamięszanie, a trzask skorup garnków i misek porozstawianych na sprzedaż, tratowanych kopytami rumaka, zwiększał jeszcze wrzawę i hałas trudny do opisania. Nawet jeden z Pandurów strzelił za hrabią, szczęściem, iż poczciwiec nabił broń swoją tylko prochem. Nareszcie po wielu tym podobnych awanturach, stanął hrabia Y. w Weitzen, przy moście u przystani 6 minut 16 sekund wcześniej, aniżeli parowiec „Argo.“

Książę oczywiście wściekał się z gniewu na kapitana; ten jednakże objaśniwszy rzecz należycie, przekonał księcia, iż co się tyczy żeglugi parowej po Dunaju, to tenże miał o niej błędne pojęcia. Parowce pływające po Tamizie, mają spody statków zbudowane wąsko, kiedy u „Argo“ przeciwnie, takowy jest płaski; potem prąd wody na Tamizie równa się prądowi morskiemu tak, że statki bardzo lekko po niej pływają; w dodatku, „Argo“ musiał jeszcze z pesztu do Weitzen płynąć pod wodę, co stanowi ogromną przecie różnicę.

Koniec tego wszystkiego był taki, że dla księcia funt pięcioguldenowych banknotów był, jak Francuzi powiadają, „perdu.“

Hrabia Y. uczynił jednakże księciu propozycyą następującą:

— Odnówmy zakład — rzekł. — Teraz naprzykład założę się, iż na tym samym koniu co mię tutaj przyniósł, wyprzedzę parowiec płynący z wodą i wprzódy stanę u peszteńskiej przystani, aniżeli on.

Po takim zakładzie można się pocieszyć, był bowiem na pewne dla hrabiego straconym.

— Dziesięć funtów przeciwko jednemu, że pan nie będziesz wcześniej!

— Ale załóżmy się nie o banknoty.

— Więc o złoto?

— O coś kosztowniejszego jeszcze. Jeżeli wygram zakład, wtedy dasz mi książę za żonę tę, o której rękę prosić go będę.

— Dobrze. Jeżeli zaś pan przegrasz, musisz się żenić z tą, którą ci przeznaczę.

— Zgoda!

Podali sobie dłonie, zakład tym sposobem został dokonany.

I nastąpiła znowu uczta pod namiotem rozpiętym na brzegu rzeki; znowu spełniono kilka toastów; jeszcze raz zagrzmiały moździerze, na parowcu odezwał się dzwonek, a całe towarzystwo zaproszonych gości dam i panów, wsiadło z weitzeńskiego brzegu na statek.

Hrabia Y. wskoczył na konia i wjechał także wraz z innymi na pokład.

— Co to ma znaczyć? — zapytał książę zdziwiony.

Kawalerzysta z krwią zimną odpowiedział:

— Wszak ja nie zakładałem się o to, iż przyjadę konno do Pesztu wcześniej aniżeli parowiec, tylko, że przybędę tamże na koniu.

Naturalnie, całe towarzystwo stanęło po jego stronie. Utrzymywano powszechnie, iż żart się udał, i że hrabia ma zupełną słuszność.

Ale książę nie dał się zbić z tropu. Kiedy już uśmiano się z niego dostatecznie, rzekł do hrabiego:

— Jeżeli dwóch jeźdźców jednocześnie staje u mety, wtedy wyścig taki nazywa się „martwym“ — i żaden nagrody nie otrzymuje. Jednakże ja myślę, że co pana w najgorszym razie spotkać może, to że „Argo“ o połowę przynajmniej głowy, wcześniej stanie u mety aniżeli koń pański.

I rozległy się znowu śmiechy, lecz już nie z księcia.

Hrabia Y. nie odpowiedział ani słowa. Znajomi jego poczęli ubolewać, iż wdał się w taki zakład. Nagle podjechał na miejsce drugiej klassy i stanął tam jak sierota, z miną na kwintę spuszczoną. W tej chwili, siedząc na siodle, podobnym był do rycerza smutnej postawy.

Skoro już statek minął wyspę Margerytę, podszedł książę do hrabiego, a klepiąc po szyi pięknego rumaka, szepnął:

— Księżniczka o „świńskiej głowie,“ jest już pańską.

— O nie jeszcze kochany teściu! — zawołał Hrabia Y. i w tej samej chwili wspiąwszy konia ostrogami, wskoczył z nim w nurty Dunaju.

Całe towarzystwo wydało okrzyk przerażenia.

— Zatrzymać statek! — wołały przestraszone damy.

— Płynąć dalej! — krzyknął książe.

Nie ma się co obawiać o jeźdźca. Oto płynie on już z koniem środkiem Dunaju; nie strącił nawet kapelusza z głowy. Istotnie, był to skok wspaniały — ze statku prosto w wodę.

Tylko że cała ta brawura na nic się nie zdała. Nim hrabia zdoła dopłynąć do brzegu, nim puści się lądem, już tymczasem parowiec przybije do przystani i zakład przepadnie.

Świadkowie tej sceny, z ogromnem natężeniem śledzili ruchy jeźdźca. Już „Argo“ zbliżał się na wysokość przystani, gdy jeździec miał do niej jeszcze z półtora tysiąca kroków.

Lecz książe znalazł znowu sposobność przekonania się o różnicach zachodzących pomiędzy parową żeglugą na Tamizie a Dunaju. Parowiec pływający po Tamizie naprzykład, może, zkądkolwiekbądź przychodzi, w prostej linii zatrzymać się zaraz u przystani. Na Dunaju rzecz się ma inaczej; potrzeba płynąć mianowicie z wodą, powstrzymywać bieg kół parowca, pilnować uważnie ruchów jego, kierować stosownie do prądu nurtów, wyrzucać nareszcie pomiędzy gapiącą się na brzegu publiczność przywiązane do lin kloce, aż takowe ktoś pochwyci i statek do mostku przyciągnie.

Mógł sobie książę kląć na czem świat stoi i w najrozmaitszych językach, kapitan pozostał na to głuchy, albo udawał, że nie rozumie. Zgromadzona zaś publiczność, witała przyjaznemi okrzykami i wiwatami konia i jeźdźca, który o jedną minutę wcześniej stanęli u mety aniżeli „Argo.“

Na długość kilku koni wyprzedził hrabia Y. swojego współzawodnika.

„Handicap“ ten, nagrodzony został ręką „pięknej Karloty.“ Hrabia uczciwie na stawkę zasłużył.

...Nie wiem czy wielu z nas byłoby go w stanie naśladować...

Od Redakcyi.

W. B. Wal. w Siedl. Wiersz p. n. „Przyjacielu“ drukowany być nie może.

W. Er. Ilef. Wiersze p. n. „Jesienią,“ „W trumieneczkę,“ „Szczęście,“ „Wątpliwość,“ „Los marzeń,“ „Przeciw łzom,“ nie mogą być drukowane w Tygodniu.

J. S. w Tarnopolu. Spiewnika tomik I. bezpłatnie dla prenumeratorów „Tygodnia“ był dołączony do Nr. 44.

Treść Nr. 61. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.